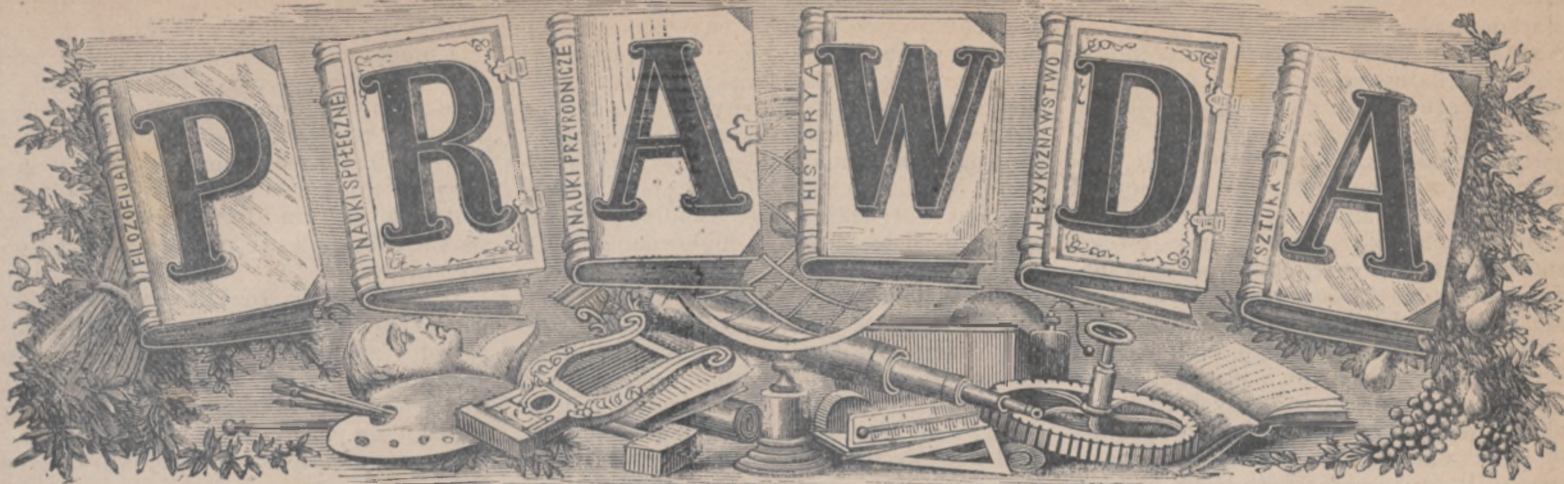
№ 2. Warszawa, dnia 12 Stycznia (31 Grudnia) 1884 r. Rok IV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem) **W Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu. **Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Włodzimierska Nr. 2.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5. **Redaktor** przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu. **Rękopisy** drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych. **Sprzedaż pojedynczych numerów** po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra. Plac Kazański Nr. 7. **Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

WYROZUMIAŁA SPRAWIEDLIWOŚĆ.

Społeczeństwo rosyjskie objawia niekiedy ostre sprzeczności. Rodzą się tam obok siebie, nieraz z tych samych przyczyn, objawy tak różne, że niepodobna między nimi wynaleźć żadnego łącznika. Często też spotykamy ludzi, którzy kojarzą w sobie najtwardszą zachowawczość i najskrajniejszy radykalizm, umieją jakoś oba te pierwiastki pogodzić i gdy jedną stroną świecą, drugą rzucają gruby cień. Wzrok nasz już przywykł do tego rodzaju kontrastów, tem niemniej zasługują one zawsze na uwagę. Ostatnie tygodnie dostarczyły kilku.

Podczas gdy kupiańskie zebranie ziemskie, pragnąc prześcignąć Anglię, podniosło sprawę przyznania praw wyborczych kobietom, w Kijowie uniewinniony został przez sędziów przysięgłych oskarżony o roztrwonienie znacznej sumy kasyer Swiridow. Ponieważ jego obrońca domagał się tylko „łaski dla upadłego człowieka", a sam podsądny prosił o to, żeby go nie wysłano zbyt daleko, wyrok przeto sprawił istotną niespodziankę. Niektórzy z przysięgłych ogłosili publiczne listy z objaśnieniem, że w sprawie udziału nie brali, gazety liberalne wytrzeszczyły oczy, konserwatywne zyskały nową broń do napaści na sprawiedliwość „ulicy". Tak np. *Kiewlanin*, organ niemal półurzędowy, pisze: „Swiridow oszukiwał, szachrował, kradł, ale przyznał, że to występek. Cóż myśleć wszakże o sumieniu, wyznającem, że ta kradzież systematyczna, przebiegłe szacherki i nieskończone oszustwa nie są żadnem przestępstwem? Swiridowa sądziło 12-stu przysięgłych, lecz tych przysięgłych ma, prawo sądzić całe społeczeństwo".—Dzienniki przeciwległego bieguna — *Zaria* i *Nowosti* — nie podpisując wyroku, bronią instytucyi, która go wydała i wykazują, że jej oskarżyciele nie czuli tego oburzenia, gdy wygrywali procesy sami lub ich protegowani.

To prawda, i nie ulega wątpliwości, że najbezzasadniejszy wyrok nie jest klątwą na sądy przysięgłych, które w całym świecie działają z wielkim pożytkiem. Alez drugiej strony przyznać trzeba, że one w Rosyi wytworzyły szereg prawnych dziwolągów, które miejscowej Temidzie wystawiają niepochlebne świadectwo. Ustawicznie czytamy o uniewinnionych mężach, znęcających się nad żonami, o zbrodniarzach i złodziejach, którym za ciężkie przestępstwa nawet włos z głowy nie spada. Nadewszystko zaś anioł stróż staje za plecami oszustów bankowych. W roku zaprzeszłym gazety rossyjskie naliczyły do 20,000,000 rubli tego rodzaju nadużyć, które zostały ukarane bardzo łagodnie lub rozgrzeszone zupełnie. Współcześnie ze Swiridowem uniknęło zasłużonego więzienia kilku podobnych mu bohaterów. Wiadomo z niedawnych dziejów, że Juhancowy i Owsiannikowy, jadąc na pokutę, zbierali po drodze wawrzyny sławy. Wobec tych faktów, patryotyzm rosyjski może słusznie zapytać siebie: czy w społeczeństwie nie zanika zmysł sprawiedliwości, skoro przysięgli ułaskawiają przestępstwa, a ludność na stacyach kolejowych z uniesieniem wita rycerzy przemysłu? A doprawdy przecząca odpowiedź na to pytanie jest bardzo trudną.

W liberalnych i demokratycznych żywiołach Rosyi krąży silny prąd, ujawniający się w literaturze tej barwy, który piętnuje surowo nadużycia kapitalistyczne. Prąd ten przeniknął wiele artykułów dziennikarskich, rozlał się obficie w wielu powieściach. Jakże z nimi więc pogodzić tę zdumiewającą pobłażliwość dla oszustw i kradzieży bankowych, która wytryska z wyroków uniewinniających? Jeżeli Juhancowy i Owsiannikowy są ludźmi czcigodnymi, jeżeli Swiridow, Mielnicki itd. zasługują na litość, jeżeli nieprawdą jest zasada prokuratora kijowskiego, że: „bardziej należy żałować kraju niż przestępcy", to po co zbyt daleko sięgać skargami na marnotrawczą gospodarkę, kiedy w samem społeczeństwie znajduje ona protekcyę?

U nas sądów przysięgłych nie ma, a gdyby były, składałyby się z ludności miejscowej: dowody zatem owej wyrozumiałej sprawiedliwości mają dla nas znaczenie tylko pośrednie, ale znaczenie mają. Są to bowiem wyrazy sumienia ogółu, który na życie nasze oddziaływa. Otóż zabierając głos z tego powodu, uważamy za konieczne wskazać, że źle się dzieje wśród.... przysięgłych, że ich humanizm, względność, czułość i tym podobne przymioty winny się oszczędzać na wypadki godniejsze przebaczenia.

WZAJEMNOŚĆ SŁOWIAŃSKA.

Dziś już żadne społeczeństwo murem chińskim od sąsiadów oddzielić się nie zdoła; wzajemna wymiana myśli i usług występuje jako konieczna potrzeba, nici międzynarodowych stosunków krzyżują się, plączą, naciągają, ale ostatecznie nie ich rozerwać nie może. Wszakże oprócz tych spojeń, których jedyną rodzicielką jest obopólna korzyść, istnieją jeszcze inne, opierające się na odległem, ale żywem pokrewieństwie plemiennem lub szczepowem. Wzrastające z dniem każdym poczucie jedności rasowej, łagodzące zbyt ostry egoizm narodowościowy i łączące grupy powinowate w jedną wielką całość, jest niejako świtaniem nowej ery, przejściem do innego, wyższego jeszcze porządku—powszechnego braterstwa ludów. Wspólność ta, rozumnie pojęta, daleka jest od cudzą szkodą wydętych mrzonek panslawizmu, wymagającego upośledzeń tam, gdzie tylko równość sprawiedliwą być może; nie stanowi bynajmniej morza, w którem zlać się mają wszystkie słowiańskie rzeki, ale kombinacyę

stosunków, zapewniającą każdemu wzajemną pomoc i niekrępującą w niczem rozwoju narodowych właściwości.

Świadome poczucie solidarności plemiennej słowian datuje się zaledwie od początków bieżącego wieku; powstało ono jednocześnie prawie z rozbudzeniem się samowiedzy narodów, które pozornie były skazanymi na wieczne milczenie w dziejach. Nie będziemy śledzili ani zawiązków, ani dalszego przebiegu tego ruchu umysłowego, zaznaczymy tylko, że źródła odrodzenia znaleziono w tradycyi historycznej i w twórczości poetyckiej ludu, a ta ostatnia u wszystkich grup słowiańskich, żyjących w zamknięciu i mało podległych wpływom kultury, posiadała mnóstwo wspólnych znamion. Badania lingwistyczne, tak ważną grające rolę przy narodzinach każdej literatury, przyczyniły się jeszcze do stwierdzenia bliższego pokrewieństwa. Wzajemność literacka wynikła sama przez się, naturalnie, bez nawoływań i powziętych z góry teoryj. Ślady jej znajdujemy i w naszem piśmiennictwie przed 1830 rokiem w pracach Lindego, Lelewela, Maciejowskiego, Chodakowskiego i innych. Z biegiem czasu zaczątki te niszczone zmarniały, znikły i dopiero w ostatnich latach zwrócono znów uwagę na stosunki z pobratymczymi ludami.

Gdyby nawet to poczucie plemienne nie było naturalnem, najzupełniej uzasadnionem, pozostaje ono w każdym razie istniejącym faktem, przekonaniem szeroko rozpowszechnionem, z którem liczyć się i rozumnie zeń skorzystać należy. W Austryi zwłaszcza znajduje ono nowe poparcie w stosunkach politycznych, które wszystkim bez wyjątku narodowościom, w skład tego państwa wchodzącym, wskazują wyraźnie, jeżeli nie ściśle wspólne cele, to wspólne drogi do ich urzeczywistnienia. Prawda tego zdania dziś rzadko już ulega zaprzeczeniu, a idea wzajemności słowiańskiej, niedawno tak jeszcze wyszydzona, oplwana i obryzgana błotem przez naszych „prawowiernych," pozyskała sobie prawa obywatelstwa w literaturze i życiu. Czy wiemy jednak, co ona nam niesie i co w zamian dać jej możemy; czy zdaliśmy sobie sprawę z tego, co należałoby zrobić i czy zrobiliśmy w tym kierunku cokolwiek?

Pomijając prace, nieliczne zresztą, uczonych i wytrwałe, ale bezskuteczne najczęściej usiłowania kilku skromnych pracowników literackich, starających się usilnie nawiązać nić braterskiej sympatyi, odpowiedzieć musimy przecząco. Dotychczas w literaturze naszej panuje dziwna nieznajomość spraw słowiańskich, nawet zbliska nas obchodzących. My, co oburzamy się na niemców za przekręcenie nazwiska naszego powiatowego miasteczka, nieraz jeszcze nazywamy język małoruski prowincyonalnem narzeczem polszczyzny, a nie mówię już o tem, że większość naszych etnografów nie zna różnicy między biało- i mało-rusinami. Niedawno w jednem z pism korespondent wołyński, a więc osiadły tam, nazwał np. poleszuków — białorusinami. Co do czechów, morawian, słowaków panuje to samo nieuctwo, a serbów od bulgarów nauczyliśmy się rozróżniać dopiero z gazet. Czy wielu mających pretensyę do inteligencyi czytelników wie np. o tem, że język chorwacki oprócz alfabetu i pisowni niczem prawie nie różni się od serbskiego? Słowem, w dziedzinie tej bardzo wiele pozostaje do nauczenia się—a uczynić to powinnismy bodajby ze względu na własną korzyść.

Pobratymcy znają nas nie o wiele lepiej, ale z nich znaczną część winy zdjąć należy. Są to ludy biedne, literaci ich piszą nie dla zarobku, lecz z poświęcenia, druki nie opłacają zwykle nakładu. Na sprowadzanie polskich wydawnictw nie mają środków. Dotychczas otrzymywali bezpłatnie jedynie rosyjskie książki i dzienniki. Jeżeli chcemy, żeby nas poznano dokładnie, żeby nie patrzono na nas przez szkła niechęci i potwarzy, powinniśmy ułatwić to zapoznanie, przesyłając do ognisk słowiańskiego życia wydawnictwa polskie.

Myśl tę poruszył na zjeździe literackim w Krakowie p. A. Parczewski, jeden z tych niewielu, którzy szczerze badają stosunki słowiańskie. Podnosimy ją powtórnie, bo nie słychać o wykonaniu przyjętego i zatwierdzonego wniosku. P. Parczewski wymownie dowodził korzyści, jaka płynąć dla nas będzie z wzajemnego obcowania w sferze literackiej. Nie idzie tu o tłomaczenia, bo pod tym względem literatura nasza przerasta wszystkie pokrewne, z wyjątkiem rosyjskiej. Ale, jak już nadmieniłem wyżej, w własnym naszym interesie należy dać się poznać słowiańskim współbraciom i ułatwić im dostęp do naszej literatury i naszego życia.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że zbadanie słowiańskich piśmiennictw nie wywrze na nas żadnego wpływu. Zapewne, nie poczerpniemy tam nowych idei, nie zasilemy swego umysłu nowym dorobkiem wiedzy; w tym względzie literatury ludów zachodnich pozostaną na zawsze dla nas krynicą, z której czerpać musimy ożywcze napoje. Ale wiejący z tych piśmiennictw duch demokratyczny, ale sposoby oddziaływania na lud i pisania dlań dadzą nam niemało cennych wskazówek, które z łatwością przeszczepić możemy na grunt rodzimy. Pobratymcy nasi — to właściwie nie narody nawet, ale ludy, podówczas, gdy my jesteśmy kastą tylko. — Literatury ich nawskroś demokratyczne, przystępne są dla wszystkich; u nas wiele jeszcze zostaje do zrobienia w tym kierunku: zamiast więc szukać dróg nowych, weźmy ztamtąd gotowe wzory.

Dla ułatwienia znajomości piśmiennictw pobratymczych p. Parczewski zaproponował również założenie w Krakowie księgarni, której specyalnością byłyby rzeczy słowiańskie i wydawanie katalogów. Dziś książki serbskie np. sprowadzać musimy za pośrednictwem niemieckiem. Projektowane środki nie wystarczają jednak i koniecznem byłoby wydanie gramatyk i słowników różnych narzeczy słowiańskich, bo na pierwszym planie, rzecz prosta, stoi poznanie języka tych ludów.

Wrodzona wybrańcom opatrzności duma polityczna, nie pozwalała nam dotąd na zbliżenie się do tych upośledzonych braci. Skorzystali z tego inni i umieli wystawić nas jako odszczepieńców, jako „judaszów" Słowiańszczyzny. Dziś zrozumieliśmy poczęści błąd, ale nie naprawili go. Nie trzeba zrażać się trudnościami. Czy my zresztą sami i dziś jeszcze jesteśmy bez winy? Kiedy na tym samym zjeździe w Krakowie p. Grzegorzewski wniósł rezolucyę, że zgromadzenie artystów i literatów polskich, szanując właściwości religijne i narodowe każdego z ludów słowiańskich, wyraża nadzieję, że ani pisownia cyrylicka lub łacińska, ani wogóle wszelkie różnice historyczne lub zwyczajowe nie będą przeszkodą do utrzymania i rozwoju bratnich stosunków w dziedzinie literatury i sztuki — to nawet ta niewinna i zupełnie słuszna propozycya napotkała protest. Znalazł się jakiś literat, który oświadczył, że powyższy wniosek należy do takich, na które nie każdyby się zgodził i zażądał odroczenia go do przyszłego zjazdu. Zgromadzenie potwierdziło to głosowaniem. — Rozumie się, jeżeli z takiemi uczuciami zbliżać się będziemy do braterskiego obcowania, oprócz kwasów i niechęci, nie otrzymamy nic innego zgoła: ale i wtedy winę nieporozumienia przypiszemy nie sobie, lecz innym.

Sprawa słowiańskiego zbliżenia obchodzi nas niemniej jak innych i takież same przedstawia dla nas korzyści. Zespala ona drobne narody, które zosobna powodzi ger-

LEKCYA Z JÓZIEM.

— Więc już rozumiesz, dlaczego balon w górę się wznosi?

— Rozumiem.

— A teraz ci opowiem jego historyę. Właśnie w ubiegłym roku upłynęło lat sto, jak został wynaleziony przez dwu fabrykantów papieru, braci Stefana i Józefa Montgolfierów. Zrobili oni balon z płótna i papieru, a napełnili go ciepłem powietrzem, paląc pod otworem słomę i wełnę. Puszczony wzniósł się do 2000 metrów. Wiadomość o tym wynalazku rozbiegła się szybko po całej Francyi i pobudziła profesora fizyki w Paryżu Charles'a do przygotowania drugiego balonu, nasyconego wodorem.

— Ale to odważni byli ludzie!

— Odwagi uczy człowieka często zwierzę. Dużo psów i królików nakarmiono siarką i nastrzyknięto morfiną, zanim ludzie zaczęli używać tych środków. Pierwsze dwa balony uleciały same, trzeci—owcą, kogutem i kaczką, czwarty z dwoma osobami, ale był przywiązany liną do ziemi i zatrzymał się na wysokości 70 stóp. Dopiero piąty wolny wzniósł ludzi i od tej chwili rozpoczyna się właściwa epoka zastosowania balonów. Obecny przytem tłum był tak oczarowany cudownością wynalazku i śmiałością podróżników, że gdy wrócili, zdarł z nich ubranie i rozszarpał je na pamiątkę.

— Dobrze zrobił.

— Tłum zawsze tak robi, ile razy potęgę ludzkiego ducha poznaje oczami. Gdyby bracia Mongolfierowie napisali byli książkę i dowiedli możności wznoszenia się balonów, niezawodnie posądzono by ich o pomieszanie zmysłów lub stosunki z dyabłem, a ksiądz nie dałby im rozgrzeszenia. Nie sądź przytem, ażeby ów zachwycony tłum składał się z ludzi prostych i ciemnych; takich często nie przekonywają nawet oczy, dowodem kolej żelazna, dotychczas przez lud uważana za maszynę piekielną. Ale wróćmy do rzeczy. Po pierwszych próbach naśladowania szły prędko. W kilka miesięcy później profesor paryski Charles i mechanik Robert udoskonalili balon siatką zewnętrzną, do której przywiązali kosz, poprzednio umocowywany przy jego otworze, co przedstawiało znacznie niebezpieczeństwo. Teraz ci przeczytam, jak jeden z nich opisuje swą podróż.

„Zanim wznieśliśmy naszą maszynę o 26 stopach średnicy, napełnioną powietrzem zapalnem (wodorem), puściliśmy naprzód kulę 5 stóp i 8 cali średnicy, mającą nam pokazać kierunek wiatru... Tymczasem przygotowaliśmy się do odjazdu. Paliła nas niecierpliwość opuszczenia ziemi. Wyrzuciliśmy balast i śród ciszy i wzruszenia obecnych wznieśliśmy się w górę. Nic nie może porównać się z rozkoszą, jaka mnie całego ogarnęła, gdym opuszczał ziemię; nie była to rozkosz, ale szczęśliwość. Czułem, że uciekam od wszystkich utrapień tego padołu, od wszystkich plag zazdrości i prześladowania, czułem siebie, wznioślszy się ponad wszystko."

— Za co Charles'a prześladowali?

— Nie wiem, moje dziecko, ale przypuszczam, że za rozum, za chęć rozszerzenia granic wiedzy i pomyślności ludzkiej. To nieraz wystarcza, ażeby zawisnąć na krzyżu. Dla głupich mędrzec tyle wart, co zbrodniarz—śmierci. Pomyśl teraz o zachwycie Charles'a, gdy wyrwał się z pazurów ciemnoty, gdy zrzucił z swych ramion całe brzemię udręczeń i płynął po powietrzu, słysząc zaledwie głuchy szmer tej ziemi, na której może wiele przecierpiał. Balon biegł w górę, nici zależności pękały, śmiały podróżnik zatonął we wspaniałej ciszy... Czytajmy dalej.

„Z tem uczuciem moralnem łączyło się żywe wrażenie fizyczne — majestatyczny widok, który się roztoczył przed naszemi oczami. Pod nami, gdziekolwiek zwróciliśmy spojrzenie — skupione głowy i skierowane ku nam oczy; nad nami najpogodniejsze niebo i w dali najrozkoszniejsze widno

manizmu oprzeć się nie mogą, i jednocząc sił wiele we wspólnej pracy, ułatwia ją i potęguje jej wartość. Wiek nasz, który w sferze ekonomicznej podniósł zasadę zbiorowości, winien ją również urzeczywistnić w dziedzinie duchowej i politycznej. Dla nas, dla literatury naszej, łączność słowiańska otwiera szerokie pole zbytu płodów polskiej twórczości, a temsamem rozszerza pole naszych wpływów cywilizacyjnych. W plejadzie narodów europejskich jesteśmy zaledwie małą, niedostrzegalną prawie gwiazdeczką, podówczas, gdy w świecie słowiańskim będziemy, jeżeli nie słońcem, to zawsze gwiazdą pierwszej wielkości.

J. L. P.

Matka czy macocha?

Nawet ci radykaliści nasi, którzy nie uznają noworocznych fraków i powagi *Przeglądu katolickiego*, dostają śmiertelnych dreszczów, ilekroć się mówi o założeniu w Warszawie uniwersytetu dla kobiet. Przyczyną trwogi jest widmo kosmopolityzmu, któremu nasza lękliwość każe podążać niewolniczo za tryumfalnym wozem oświaty. Na każdej stronicy chemii lub botaniki spostrzegamy ową straszną poczwarę, która sen z powiek nam spędza. Przerażeni otaczamy taką aureolą wszystkie gęsie przymioty naszych dziewic, iż tylko najdzielniejsze, najbardziej niepodległe głowy kobiece ośmielają się u nas nie uważać gęgania za ostatni wyraz sprawy niewieściej.

Istnienie w naszem mieście kilku doktorek (medycyny i filozofii), które na obczyźnie nawet narodowości swej nie sprzedały za cudzoziemski podręcznik, dalej poważna liczba kształcących się w Petersburgu polek, którym kosmopolityzm przecie końcowych liter nazwiska nie odmienił, wreszcie znaczna garstka rodaczek naszych, szukających dziś jeszcze rozumu u szwajcarów lub francuzów—wszystkie te fakty niczego nas nie nauczyły. Przy sposobności lubimy się, co prawda, chwalić, że „nasze kobiety...“ przewyższyły poziom swego społeczeństwa, ale nie nadto. A jednak wnioski z tych faktów są widoczne i pouczające.

Ze wzrastającej wciąż liczby polskich studentek przekonać się można najprzód, iż chęć wyższego ukształcenia umysłu nie jest śród nich przelotną modą, kaprysem, ale wykładnikiem istotnej potrzeby społecznej. Jeżeli widmo głodu i nędzy śród obcych nie odstręczyło od nauki wielu energicznych jej miłośniczek, to liczba ich zwiększyłaby się do poważnych rozmiarów, gdybyśmy szkołę mieli u siebie. Ponieważ dalej, ucząc się psychologii w języku nierodzinnym, studentki nasze nie przestały myśleć po polsku (chociaż nie po warszawsku), więc niema obawy, że ze zmianą otoczenia obcego na swojskie dziać się będzie inaczej. Ale sposób rozumowania naszych stróżów nie jest tak prostym. W ocalonej indywidualności uczących się na obczyźnie polek panowie ci widzą tylko cud żywy, który zawdzięczać należy modlitwom *Kroniki rodzinnej*, *Biesiady literackiej* itp.; w przeniesieniu zaś studentek na grunt swojski dostrzegają zgubę, jakiej tylko dzieci Baala dojrzeć nie umieją. Rozumowanie takie posiada pewną pozorną podstawę, której się zresztą nie domyślają obrońcy wszystkiego, co... gęsie.

Dusząca atmosfera naszego konserwatyzmu, którą oczom patrzącym zdaleka zasłaniają chmury tęsknoty za krajem, a czasem łzy głodu, atmosfera ta musiałaby trupią wonią odpychać od nas młode serca, żyć w niej zmuszone. Odepchnęłaby też napewno i odstręczyła, gdyby żywotność młodzieży nie była większą od bojaźni starszych i gdyby chwila, jaką przebywamy obecnie, była ostatnią w naszym umysłowym i społecznym rozwoju.

Ale zarzut kosmopolityzmu nie jest jedynym. „Dziewczęta nasze w *takim* uniwersytecie utracą swoją skromność, a nadewszystko ulegną zarazie socyalizmu.“ To ciągłe żenienie Bachusa z Minerwą jest absurdem, który wyglądź się mógł tylko w naszej warszawskiej mitologii, gdzie bojaźń, pełniąca obowiązki Charona, przewozi codziennie logikę na drugi brzeg Styksu.

W życiu mojem widziałem tyle matek, pojmujących społeczno-ekonomiczną rolę córki w kontredansie, tyle dziewic, rumieniących się skromnie na widok każdego „kandydata,“ iż nie sądzę, aby nawet uniwersytet dający kobiecie świadomość własnej godności, mógł do zbytku przerzedzić szeregi naszych westalek. Zresztą niedorzeczności zbijać nie będę. Kłam jej zadają fakty, nieliczne dlatego tylko, że nie posiadamy wielu kobiet wysoko ukształconych. Biografia niejednej z nich jest tak szczytnym poematem poświęceń i trudów, na jaki nie zdobędzie się sto przeciętnych niewiast naszych—nawet po naradzie z redakcyą *Kroniki rodzinnej*.

Pozostaje więc tylko socyalizm. Nie sądząc tu ewangelii Marxa, postawmy się na miejscu tych, którzy w działalności jej wyznawców widzą tylko szumowiny społeczne. Jeżeli tak jest naprawdę, to czyż nam się zdaje, że morze cywilizacyi na nasze wybrzeża tylko perły i bursztyn wyrzucać będzie? że z pianą i szczątkami zdruzgotanych statków nigdy do czynienia mieć nie będziemy? Czyż ślimaka fale nie unoszą, chociaż w skorupie swej siedzi zamknięty—i czyż nieuctwo nie łatwiej, nie prędzej sparodyować potrafi święte nawet i słuszne zasady? A może sądzimy, że za spokój ślimaczy, za sen głęboki, w jakim się pogrążamy, Europa wyrobi dla nas i ofiaruje nam kiedyś w darze wszystkie najwyższe formy bytu społecznego? Że w rozczuleniu odezwie się do nas: „Kochane dzieci, za to, żeście spały tak smacznie, żeście mi w pracy mojej nie przeszkadzały, za to, że wasze dążenia społeczne nie wybiegały poza granice towarzystwa wioślarskiego i tattersalu—za to weźcie sobie...“ Ale czy potrafimy wtedy wziąść to, co ona pracą stuleci zdoła przyswoić?

Jeżeli uważamy socyalizm za rzecz szkodliwą dla siebie, to czyż kilkomilionowa ludność nie potrafi stawić czoła kilkunastu studentkom, nawet wtedy, gdy za cenę tej walki ogół kobiet naszych zdobędzie wiedzę i niepodległość sądu?

Uwagi powyższe wypowiedziałem bynajmniej nie w zamiarze rozbudzenia stróżów naszego Kapitolu. Był to raczej jeden z tych protestów, jakimi pokolenie obecne bronić się będzie przed trybunałem przyszłości. Do wystąpienia zaś skłoniło mię kilka cyfr, które przypadkiem rąk moich doszły. Dotyczą one studentek polek w Petersburgu. Ogólna ich liczba wynosi około *pięćdziesiąt*. Z tych pięć tylko uczęszcza na medycynę, reszta zaś uczy się na kursach Bestużewa. Wszystkim pięciu lekarkom pod względem materyalnym powodzi się dobrze; druga grupa jest mniej szczęśliwą. Z pomiędzy 45 studentek tylko *dziewięć* posiada utrzymanie dostateczne; *dwadzieścia* innych ma około 20 rs. miesięcznie, co jak na Petersburg grozi częstym głodem, pozostałe zaś w liczbie *szesnastu* nie mają *żadnych* stałych dochodów.

Jakkolwiek Warszawa, o ile wiem, nie splamiła się dotąd wysłaniem na kursa Bestużewa zbyt wielu swych przedsta wicielek, to jednak pokrewieństwo duchowe pomiędzy nią i owemi wycieńczonemi

---

kręgi. O mój drogi —rzekłem do p. Roberta — jakże wielkiem jest nasze szczęście! Unosząc się przyspieszonym ruchem, nie zapomnieliśmy małemi chorągiewkami dać umówionego znaku radości przyjaciołom naszego przedsięwzięcia.

— Pamiętali o tem — w takiej chwili!

— Nie dziwnego, moje dziecko. Człowiek, który się wznosi po nad tłum, ma przyjaciół nielicznych, ale za to tem życzliwszych. Gdy Charles z Robertem znikali w powietrzu, niejedno serce śród widzów zabiło niepokojem a po dostrzeżeniu chorągiewki — radością. Czytajmy:

„Przyjaciele nasi zaopatrzyli nas na dłuższą podróż w wino, okrycia, futra itd. Będziemy mieli co wyrzucać — rzekłem. Robert cisnął wełnianą kołdrę, która rozpostarła się majestatycznie w powietrzu i spadła przy kościele Wniebowzięcia... Podczas całej tej przyjemnej wycieczki ani przez jedną chwilę nie obawialiśmy się o siebie i nasz statek. Wkrótce słońce rozgrzało balon i rozszerzyło znajdujące się w nim powietrze; zaczęło ono wychodzić przez wiszącą u spodu kiszkę, którą trzymaliśmy w ręku i według potrzeby nieco otwierali... W pięćdziesiąt sześć minut po odjeździe słyszeliśmy wystrzał armatni, który był znakiem, że przestaliśmy być z ziemi widzialni. Ucieszyło nas to...“

— Ucieszyło ich?

— Tak pisze wyraźnie Charles, który teraz dopiero odetchnął.

„Ucieszyło nas to, żeśmy im zniknęli. Oddaliśmy się całkiem swobodnie różnorodnym widokom na niezmierzonych przestrzeniach, rozmawiając ustawicznie z ich mieszkańcami, którzy zewsząd wybiegali ku nam; słyszeliśmy okrzyki ich radości, życzenia, obawy, słowem wszelkie objawy zdumienia i podziwu. Nowość wrażeń wyciskała mi łzy.“

— Odczuwasz ich wzruszenie?

— Odczuwam.

— Wątpię. Jesteś jeszcze dzieckiem, nie potrzebowałeś uciekać od ludzi i rzucać się w śmiałe przedsięwzięcia.

— Ale wyobrażam sobie.

— Nie, kochanku, tego wyobrazić sobie niepodobna. Pewien zwolennik jazdy balonowej opowiadał mi, że niema nic przykrzejszego, jak powrót. Naprzód balon, niby mszcząc się za ściągnięcie go do ziemi, wlecze i tłucze niemiłosiernie podróżników po drzewach lub nurza w wodzie. Jednocześnie chłopi biegną za nim, a gdy stanie, usiłują go popruć i pokraść kawałkami. On szarpie się, podskakuje, wreszcie pada z przebitym bokiem. Za chwilę podobłoczny latawiec przedstawia obraz podartego worka. A ci, których on pod obłoki nosił? Ci walczą z ciemnymi wieśniakami, którzy wywodząc swe prawa do gruntu, gdzie balon spadł, do włóczęgów, tułających się bez paszportu, do szkód i strat na podeptanej roli—usiłują zabrać płat kitajki, kawał sznura, kosz, co można. Słowem, po najczystszych zachwytach u góry następuje brudna walka na dole. Tak było przed stu laty, tak jest dziś. Niedawno jeszcze pod samą Warszawą chłopi podarli i rozkradli balon, wymłóciwszy tego, który śmiał prosto przybyć do nich z nieba.

— Ja puszczę się balonem.

— Owszem; na jakiejkolwiek wyżynie człowiek staje, zawsze ogarnia szersze od innych widnokręgi i potężnieje duchem. Tylko pamiętaj być przygotowanym na to, że gdy spadniesz między ciemnych ludzi, oni ci jak schwytanemu w przelocie sokołowi powyrywają ze skrzydeł pióra na przybranie kapeluszów.

— Odrosną nowe.

— Często nie odrastają i ten, który przywykł szybować w najwyższych przestrzeniach, musi wraz z drobiem włóczyć się po śmieciach ziemi. Ach, co ja mówię! Przecież to lekcya fizyki. No, Józiu, jeśli ciężar ciała jest mniejszy od masy wypchniętego przez nie powietrza... *N. N.*

---

głodem kobietami jest faktem niewątpliwym. Czy fakt ten wobec naszej obojętności będzie zjawiskiem trwałem i czy matka, rzucająca swe dzieci na pastwę nędzy, nie stanie się w ich oczach macochą? Miasto nasze, na którego sumieniu nie ciąży już, jak się zdaje, ani jeden jubileusz, powinno byłoby i w tym kierunku zwrócić opinię ogółu—i niech zapytanie: „Matką jest, czy macochą?“ nie wyjdzie nigdy z ust żadnej studentki-polki.

Co do mnie, to dla przykładu upraszam Redakcyę *Prawdy* o wypożyczenie honorarium za powyższy artykuł jednej z tych, które dług taki z lichwą społeczeństwu swemu wypłacą.

I. K. Potocki.

DWIE SPUŚCIZNY NAUKOWE.

I.

(Memoryał Darwina).

Jak po zachodzie słońca różowym jego odblaskiem długo jeszcze rumieni się niebo, tak widnokręgi wiedzy promienieją światłem dawno zagasłych nawet geniuszów. Na posiedzeniu londyńskiego Towarzystwa imienia Lineusza, w dniu 6 grudnia r. z. odczytanym został pośmiertny memoryał Darwina, który z za grobu jeszcze nie przestaje kierować krokami uczonych badaczy przyrody.

W naukowej swej spuściźnie mistrz mówi „o instynkcie“ zwierząt i ludzi. Zadanie swej pracy streścił Darwin w kilku zapytaniach następujących. „Czy instynkty zwierząt można uważać za wynik stopniowego przystosowywania się organizmów, jak tego wymaga teorya rozwoju? Czy po przyjęciu tego przypuszczenia odnośnie do popędów najprostszych, teorya ta nie będzie zwalczoną, znalazłszy się wobec bardziej złożonych i *cudownych* instynktów zwierzęcych?

Aby rozwiązać wątpliwość, należy wziąć pod uwagę wiele okoliczności: nabywanie popędów pierwotnych, przez dobór płciowy, zmiany w instynktach pod wpływem wychowania, przyzwyczajenia, naśladownictwa i dziedziczności. Dalej usposobienie naszych zwierząt domowych i jego podobieństwo do instynktów fauny leśnej.

U zwierząt pokrewnych znajdujemy pospolicie pewne stopniowanie najbardziej zawiłych instynktów, co dowodzi, iż te ostatnie nabyte są drogą *powolnych przeobrażeń*. Każdy organizm ma w sobie instynkty — przodków...

W życiu zwierzęcia instynkt odgrywa niemniejszą rolę od samej nawet budowy anatomicznej. Niezmiernie pożądaną jest dla organizmu — w jego walce o byt — owa zmienność popędów, odpowiadająca zmienności warunków otoczenia.“

W ten sposób usuwa Darwin wszystkie pozorne sprzeczności, zbija wszystkie zarzuty, jakie niechętni jego zasadom postawić by mogli. Takie fakty, jak: sprzeczność instynktów u osobników tej samej rodziny; tożsamość u zwierząt, do innego należących gatunku; istnienie popędów na pozór dla organizmu szkodliwych; popędy ujawniające się *raz* tylko w życiu organizmu; instynkty dla nas niezrozumiałe, nakoniec szczególne trudności przy badaniu *instynktu wędrownego* napotykane — wszystkie te fakty dadzą się wytłomaczyć działaniem walki o byt, której zasadę streścił raz jeszcze Darwin: „rozpowszechnianie się i zmienność gatunku, przystosowanie się silniejszych, zagłada słabszych!“ *J.*

II.

(Dzieło historyczne Proudhona).

Po wielkich ludziach każda spuścizna jest cenną. A do takich ludzi należy dziś jeszcze— a według A. Mülbergera — dziś bardziej niż kiedykolwiek, Proudhon. Otóż z papierów po nim pozostałych wydobył, uporządkował i wydał J. A. Langlois dwutomowe dzieło a raczej szkic dzieła *Césarisme et Christianisme.* Wiadomo, że słynny myśliciel francuski był nadzwyczajnie skrupulatny w zewnętrznem obrabianiu swych prac. Jeden z jego przyjaciół powiada: „Jako pisarz czuł on głęboki wstręt do ukazywania się publiczności w negliżu. Przez szacunek dla samego siebie i dla czytelników, zachowywał w swym stroju godność — powiedzmy otwarcie — zalotność, jaka przystoi wielkiemu artyście.“ Pamiętając o tem zamiłowaniu wytworności w formie, trudno wątpić, że Proudhon nie byłby wdzięcznym p. Langlois za wyciągnięcie go na widok publiczny w szlafroku. Ów zarys jest właściwie zbiorem surowych materyałów i notat, często dla autora jedynie zrozumiałych, a powstał w następujący sposób. Gdy po rewolucyi lipcowej — jak objaśnia Mülberger — wypadki przygotowały zamach stanu, Proudhon porzucił badania społeczne i zwrócił się do historycznych, które już przedtem uprawiał. Zamierzył on napisać historyę powszechną i zobowiązał dwu przyjaciół do pomocy w zbieraniu materyałów, z których narodził się obecny zarys.

Historya jest dla Proudhona nieprzerwanem objawianiem się ludzkości, której ideje rodzą szereg faktów i żyją w nich. Każda idea, objawiając się w historyi, jest dla niego faktem, który płodzi inne; z drugiej strony wszelki fakt jest ideą, z której powstają inne. Owa tożsamość idej i faktów, w ich wzajemnem oddziaływaniu na siebie, znamionuje historyę i czyni z niej naukę.

Rozłamawszy dzieje na okresy, o pierwszym z nich (od 45 przed do 70 po Chr.) powiada: Chrystus był przedstawicielem moralnej i społecznej reformy, dalekim od dogmatów i spekulacyj. Celem jego jest wyrównanie warunków między ludźmi. „Stanowi on rzeczywiste przeciwieństwo rządu cezarów, patrycyuszów, kapłanów i lichwiarzy, rządu obłudy i nietolerancyi, bezwstydu i kradzieży, potwarzy, zdrady i mordu.“ Jego kościół, z początku oparty na braterstwie i wspólności, staje się później ogniskiem teologii i władzy. „Z Augustynem chrześciaństwo przestaje być tem, czem było; mamy kult, hierarchię, przesądy — wszystko, czego Jezus nie chciał i przeciw czemu walczył.“

Upadek Jerozolimy kończy pierwszą dobę i rozpoczyna drugą, która trwa do Septima Sewera (193). W niej cezaryzm dochodzi do najwyższej potęgi i utrwala się hierarchia episkopalna. Tytus łamie rewolucyę chrześciańską, którą ratują gnostycy. „Przewodnicy tego ruchu giną a po nich następują mierności. Mierność jest nieodłączną od demokracyi; i na nią musi przyjść kolej. Po Sieyèsie, Mirabeau, Girondzie i Dantonie musi wystąpić Robespierre. Po Pawle, Piotrze, Janie i Jakóbie zaczyna się panowanie nieznanych. Są to biskupi, trybunowie, dyakoni, purytańscy, konserwatywni, fanatycy, nietolerancyjni, wstecznicy; ludzi zdolnych usuwają, lżą i wyklinają.“

Trzeci okres ciągnie się do Galeriusza (302). Jest to czas rozkwitu despotyzmu militarnego i okrutnej reakcyi przeciw chrystyanizmowi.

Peryod czwarty rozpada się na dwie części: pierwsza, będąca epoką męczeństw, trwa do koncylium nicejskiego, druga, zawierająca historyę aryanizmu, do konstantynopolitańskiego (381). Proudhon zajmuje się tu bardzo szczegółowo Julianem Apostatą. Gdyby Julian, według niego, zamiast być Chateaubriandem poganizmu i puszczać wodze swej wyobraźni, słuchał raczej głosu polityki i filozofii, byłby się wzniósł po nad kwestye religijne i utorował drogę „indiferentyzmowi państwa.“ Zbłądził tem, że władzę cesarską oddał w służbę swej religii prywatnej. „Dla obojętności władza może wszystko uczynić; dla religii, dla przekonania — nic.“

Epoka piąta sięga do upadku państwa zachodniego (476). Po bitwie pod Aquileją poganizm ginie ostatecznie. Kościół panuje wszędzie, narody przyzwyczajają się ulegać jego wyrokom i lekceważyć ustawy świeckie. „Wtedy religia występowała jako spisek przeciwko ludzkości. Kościół pośrednio wyklina małżeństwo, zalecając celibat i życie klasztorne; potępia handel, przemysł, sztukę, naukę i bogactwo. Tymczasem rozpoczyna się wiek Attyli — nadciągają coraz groźniejsze hordy barbarzyńców. Następuje powszechny rozkład. Co czyni Kościół? Nawraca. „Byłoby ciekawą rzeczą zbadać — mówi Proudhon — czy większą jest zasługa chrześciaństwa dla cywilizacyi w nawracaniu barbarzyńców, czy też szkoda, jaką wyrządzili wolności barbarzyńcy ratując chrześciaństwo.“

Zarys kończy się ogólnym poglądem na okres feudalizmu (od 800 do 1789). Po zdruzgotaniu cezaryzmu odbywa chrystyanizm swój druzgoczący pochód: dogmatyzuje się, systematyzuje, staje się księżym, rzymskim, jednolitym. Równolegle zaś z duchową rozszerza Kościół swoją władzę świecką. Jego własność nabiera strasznego znaczenia. Ale z tego procesu wydobywa się kwestya ustroju społecznego. „Nawet najradykalniejsza demokracya Aten np. była w gruncie tylko stowarzyszeniem kupców, przemysłowców, posiadaczy i wyzyskiwaczy niewolników — 20,000 obywateli, których obsługiwało 400,000 zwierząt jucznych.“ Społeczeństwo bez niewolników, gdzie wszyscy pracować muszą i pewne prawa posiadają, nieznanem było poganizmowi i jako zagadnienie wystąpiło dopiero z chrześciaństwem. Geniusz Kościoła z geniuszem barbarzyńców rozwiązał tę kwestyę systemem feudalnym. Okres od Karola W-o do Rewolucyi francuskiej jest eksperimentalnem udawadnianiem się tego systematu, który runął w r. 1789. Co po nim zostało? „Coś bezkształtnego, brutalnego, materyalistycznego, nieorganicznego, przystrojonego feudalnemi wspomnieniami, rządowymi zwyczajami i religijną obłudą — kapitał.“

W tem krótkiem sprawozdaniu mogliśmy nakreślić zaledwie pobieżną miniaturę dzieła Proudhona i musieliśmy pominąć nawet główne jego podstawy. Czytelnicy, znający język francuski i zainteresowani w nauce historyi, niewątpliwie uczują potrzebę zaczerpnięcia z tego dzieła więcej, niż my im daliśmy. Jest ono niewykończone, poprzerywane brakami, ale zawiera bogaty zbiór poglądów oryginalnych.

T.

Kolonie angielskie.

W czasach, które przeżywamy, doświadczenie, obserwacya odgrywają rolę bardzo ważną i pociągają za sobą potrzebę wiadomości wszechstronnych a jaknajrozleglejszych, jeżeli nie dla czego innego, to bodaj dla tego, ażeby umieć zdawać sobie sprawę ze zdarzeń coraz to nowych, coraz to gdzieindziej zachodzących i wstrząsających głęboko opinią publiczną. Staje się coś na dalekim Wschodzie, lub na dalekim Zachodzie, coś takiego, co nas nie dotyczy niby zgoła, a jednak obchodzi. Ułatwienia komunikacyjne zbliżyły ludzkość na drodze znajomości wzajemnej i interesów—interesów zwłaszcza, które np. rolników z nad Wisły wywołują do spółzawodniczenia z rolnikami z nad Missisipi, nafciarzy z podgórza karpackiego z nafciarzami kaukaskimi i amerykańskimi. Dawniej tego nie bywało; oj-

com naszym ani się śniło o czemś podobnem: to też mogli oni obojętnie dowiadywać się, albo i nie dowiadywać się wcale o sprawach chińskich, tonkińskich, o tem, jak kto względem spraw tych staje lub nie staje, jakie kto gdzie posiada zasoby i środki działania. Dziś inaczej. Przypuściwszy, naprzykład, iżby przyszło do wojny pomiędzy Chinami a Francyą i w wojnie tej udział wzięły państwa interesowane, Anglia i Stany Zjednoczone, wnet by sandomierki cena podskoczyła i nafta galicyjska spółzawodzicieli na lat parę się pozbyła. W czasach naszych polityka mała ogromnie dużo z wielką ma styczności. Gdzie się jedna kończy, gdzie się druga zaczyna, konia z rzędem ofiarować by można temu, co by rzecz tę jasno wytłomaczył, pomimo że w chwili tej dosyć często ludzie głos zabierają, przestrzegając przed polityką wielką, która—jakoby—zgoła nas obchodzić nie powinna. Kwestyę tę najtrafniej—zdaje się—rozstrzyga następujące przysłowie ruskie: „Ludéj pytáj a swij rozum maj“. Pilnowanie interesów własnych w oderwaniu nie wystarcza obecnie. Trzeba koniecznie, ludzi pytając, wiedzieć, co się w mieście dzieje.

Mając potrzebę tę na uwadze, zwróciłem się do człowieka pewnego, mianowicie, do E. Avalle, naczelnika biura w ministerstwie marynarki i kolonij w Paryżu, po informacye co do kolonij angielskich, odgrywających w powikłaniach obecnych politycznych rolę bardzo ważną. Nie miałem potrzeby z p. E. Avalle zabierać znajomości osobistej, a to dla tego, że napisał on i ogłosił grubą książkę, (stronnic 696 *in octavo majore*), p. t.: *Notices sur les Colonies anglaises* (u Berger-Levrault et Co., Paryż, 1883). Dzieło to poświęcone jest rozpatrzeniu kolonizacyi angielskiej pod względem gieograficznym, historycznym, ludnościowym, zarządu, sprawiedliwości, oświaty publicznej, wyznań, finansów, handlu, żeglugi, rolnictwa. przemysłu, poczt, telegrafów i siły zbrojnej. Warto się z niem zaznajomić ludziom, którzy chcą znać czynniki na tej szachownicy, na której rozegrywają się losy nie tylko mocarstw, ale i wiosek, a na której Anglia jak to przy każdej mówiłem okazyi, zajmuje miejsce pierwszorzędne.

Anglia dzisiejsza przypomina, pod względem kolonialnym, Rzym starożytny. Wedhug p. F. Le Placy (*La Constitution de l'Angleterre*) Rzym, w chwili największego rozwoju swego, obejmował 420,000,000 hektarów powierzchni, zamieszkałej przez 120,000,000 ludzi. Anglia obejmuje blisko dwa miliardy hektarów, a ludność jej liczy 206 milionów głów. Przewaga jej kolonialna jest niezaprzeczona i ogromna. Zapewniły jej takową, według autora: wielka rasy anglo-saskiej płodność, charakteryzujący ją duch inicyatywy, porządku i wytrwałości, prawodawstwo angielskie, zniewalające młodszych członków rodziny szukać losu za morzem, w końcu mądrość i konsekwentność w politycznej i administracyjnej organizacyi osad. Mimo to nie wszystkie kolonie Anglia utrzymać zdołała. Wiadomo, jak powstały Stany zjednoczone Ameryki północnej. Gdyby nie oderwanie się w r. 1776 trzynastu kolonij Nowej-Anglii, spółzawodniczenie na polu międzynarodowem z Anglią byłoby dziś niemożliwem. Osłabiło ją to ogromnie, nie do tego atoli stopnia, ażeby z nóg zwaliło. Potęga jej jest wielką, a opiera się na podstawie szerokiej, rozłożonej we wszystkich częściach świata: w Ameryce, z wyjątkiem Alaski i Grenlandyi, zajmuje północ całą i Gujanę na lądzie stałym, w Afryce Przylądek Dobrej Nadziei i cztery punkty na wybrzeżach zachodnich, w Australii Australię całą, w Azyi Indye, na Oceanie wysp dużo, w Europie Gibraltar, wyspy Maltę i Cypr.

Kolonie angielskie na dwa rozpadają się rodzaje: na nabyte prawem pierwszego zajęcia i nabyte prawem zdobyczy lub zastępstwa. Pierwsze podlegają bezwarunkowo ustawom angielskim, a to na następującej przez Blackstona określonej podstawie: „Ponieważ prawo angielskie jest ojcowizną, która mocą urodzenia przechodzi na każdego poddanego angielskiego i którą on zabrać może ze sobą wszędzie, a zatem, skoro anglik krokiem na nową a niezamieszkałą ziemię stąpi, przez to samo wnosi na nią ustawodawstwo angielskie, stające się od chwili tej prawem krainy, którą on kolonizuje.“ Osady tego rodzaju stanowią część integralną Anglii, wchodzą do składu całości angielskiej. Posiadłości innym nabyte sposobem nazywają się „koloniami koronnemi“ i idą pod zależność bezpośrednią monarchy, który im nadaje konstytucyę taką, jaka mu się spodoba. Po większej części, całkowicie lub częściowo zatrzymują się w zdobyczach tych urządzenia dawniejsze, w byłych posiadłościach hiszpańskich hiszpańskie, w holenderskich holenderskie, we francuskich—francuskie: w dolnej Kanadzie np. zachowują moc swoją prawa feudalne francuskie, tyczące się własności ziemi; wyspy kanału La Manche rządzą się staremi prawami normandzkiemi; w Indyach angielskich utrzymują się prawa hindostańskie i muzułmańskie. Kolonie pierwszego rodzaju zależą od parlamentu, drugiego od korony, która może, stosownie do upodobania, prawa zmieniać i samorząd nadawać. Zachodzą stąd w stosunkach pomiędzy koloniami a metropolią zawikłania, które, acz utrudniają zarząd, zapewniają jednak posiadanie. Posiadłości kolonialne angielskie rozrzucone są na pięćdziesięciu punktach kuli ziemskiej. Anglia by ustawicznie miała do czynienia z buntami, gdyby, celem uniknienia zatargów, gwałciła zwyczaje i prawodawstwa miejscowe i usiłowała pod względem zarządu, wszystkich poddanych swoich do jednego sprowadzać mianownika. Chodzi jej głównie o utrzymanie—że się tak wyrażę—czucia ku środkowi i gwoli temu poprzestaje na dozorowaniu, powierzając straż gubernatorom, tytułowanym tu „gubernatorami“, tam „gubernatorami i wodzami naczelnymi“, gdzieindziej „kapitanami generalnymi“. Gubernator Indyi nosi tytuł „wicekróla“. Prawa dozorców tych są rozmaite, pomimo, że każdy z nich przedstawia monarchę i zastępuje władzę najwyższą. W koloniach niektórych są oni wielkorządcami *de jure* i *de facto*; w ręku ich ześrodkowywa się władza wykonawcza i prawodawcza, jako też sądownicza, z tem atoli ograniczeniem, że rozporządzenia ich prawomocnemi się stają nie inaczej, jak po uzyskaniu potwierdzenia królewskiego. Bez tego obowiązują one czasowo — zazwyczaj przez sześć miesięcy.

Najważniejszą kolonią angielską są Indye wschodnie, których ludność liczyła, według *Statistical abstract for India* za 1877—1878, głów 240.258,143, z których 191.096,603 przypada na bezpośrednich korony poddanych, reszta, 49,161,540 na państwa hołdownicze i protegowane. Kadry czysto angielskie, służące do utrzymania w posłuszeństwie olbrzymiej tej massy, składają 64,000 głów. Byłoby to wszelką miarę przechodzącem zuchwalstwem, gdyby ta stosunkowo drobniutka liczba panować w ścisłem wyrazu tego znaczenia chciała. Nie panuje też ona, ale, jak powiedziałem wyżej, dozoruje, reguluje i w ostatniej rozstrzyga instancyi. Tuziemcy sami się sądzą, sami policyę sprawują, sami podatki pobierają pod okiem anglików, którzy się do nich we wszystkiem, co właściwość narodową stanowi, stosują. W zarządzie najwyższym i w sądach najwyższych, i tam żywioły miejscowe uwzględnienie znajdują. Anglicy wprowadzili pomiędzy indyan porządek, którego dawniej nie było, tak, że, biorąc na uwagę szczupłość ich liczby, panowanie angielskie uważać można za rodzaj szkoły, mającej na celu wprawienie hindusów, bengalczyków, tamulów, telingasów, mahrattów i karnatów do samorządu, gdy się kiedy wyzwolą z pod władzy anglików. Świadczy o tem wychowanie publiczne, które rząd popiera i które powoli podnosić się poczyna. Rząd na szkoły w r. 1877 wydawał 738.020 funtów szterlingów, nie licząc w to miliona z górą, dokładanego przez administracye prowincyonalne i przez ludzi prywatnych. Szkół było 66,202, uczniów 1,877,942, co czyni 9 uczących się na 1,000 mieszkańców — stosunek bardzo mały, ale wyciągnięty z ludności, w łonie której mieści się 139 milionów z górą pogan, nieczuwających zgoła potrzeby oświaty, podczas kiedy 41 milionów muzułmanów staje względem niej opornie, a reszta nie garnie się. Dwa miliony bez mała uczniów są to szczepy, niosące światło w łono tłumów ciemnych, przesądnych i burzliwych, które, gdy do poznania przyjdą, jednym—spodziewać się można — rzutem otrząsną z siebie dozór, jeżeli ten zawadzać im będzie, co z tem większą przyjdzie im łatwością, że siła oręża, która dozór ów podtrzymuje, z tuziemców w większej części się składa. Armia wynosi 191,957 ludzi i 12,387 koni, a na to: 64,420 europejczyków i 127,537 indyan. Ile to rozwagi i taktu potrzeba, ażeby z tak małą siłą imponować takiej wielkiej ludności! Dodać należy, że siłę tę potęguje niezrównana anglików waleczność, która świetne dowody złożyła w r. 1857, w czasie buntu cipajów. Do cyfry powyższej nie wliczają się: policya uzbrojona 158,000 i wojska książąt hołdowniczych, liczące 309,000 żołnierzy i 5,000 armat.

Indye utrzymują się kosztem własnym. Dochód m r. 1880 wynosił 67,615,205 f. szt., rozchód 67,285,690. Handel w tymże roku czynił obrotów na 122,071.822 f. szt., to jest: przywóz 52,824,311, wywóz 69,247,511. Tyczy się to tylko przywozu i wywozu drogą morską, albowiem z lądowej korzysta jeno handel wewnętrzny, posiłkując się kolejami żelaznemi, których 1 stycznia 1882 było 9,937 mil w eksploatacyi i 1,482 m. w budowie. Głównymi artykułami handlu wywozowego są: opium, bawełna surowa, ryż, dalej zboże, skóry, indygo, herbata, kawa. Rolnictwem rząd się troskliwie opiekuje; zastosowanem jest ono do uprawy artykułów powyższych, zajmuje przestrzeni dużo i rozwój jego przyczynia się w pewnej mierze do cywilizowania kraju.

Posiadanie Indyi uczyniło z Angli mocarstwo wschodnie i zniewoliło ją do zajęcia pośrednich pomiędzy Wielką Brytanią a dawnem państwem wielkiego Mogoła punktów, które by łączyły metropolią z kolonią. Punktami tymi są Gibraltar, wyspa Malta, Cypr i Aden z Perimem. Rola ich zyskała na doniosłości z chwilą przekopania międzymorza Suez, skąd dla Anglii powstała potrzeba zhołdowania Egiptu. To ostatnie dokonanem zostało energicznie i prędko, bez oglądania się na prawo i przyzwoitość. W ten sposób Anglia uzupełniła system polityczno-militarny związku metropolii z główną kolonią swoją i na polu kwestyi wschodniej zajęła stanowisko, z którego krzyżować może widoki mocarstwa każdego w kwestyi tej interesowanego. (D. n.).

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Czesław. **Poezye.** III. Warszawa, 1844.

Autor, znany czytelnikom *Kuryera Warszawskiego* z udatnych niekiedy wierszyków, obdarzył nas tym razem nową seryą poezyj, jakkolwiek niektóre z nich. jeśli nas pamięć nie myli, występowały już dawniej w łamach togo pisma. W obecnym zbiorze spotykamy utwory, pochodzące z rozmaitych wyżyn Parnasu i z rozmaitych głębokości duszy poety. P. Cz. prowadzi nas to na najwyższe piętra ideałów, to do buduaru marzących dam, to na parter, to do okienka, przez które niegdyś wyglądała

ukochana, a dziś przez nie wygląda staruszka, żona niemca, wracającego po zapomnianą chustkę do nosa itp. Nie mniejszą też spostrzegamy rozmaitość w barwie uczuć i tendencyj. Zdawałoby się doprawdy, że autor w chwilach spokojnej rozwagi wypatruje tę lub ową komórkę serca i zapisuje ją sobie na temat do opracowania poetycznego. To jest satyrykiem, to wszechmiłującym, to pesymistą, to chłoszcze niezdarnego rymodzieja „ruszającego prosto do kancelaryi Apolina,“ pomimo protestu stróżów, to upada na kolana przed majestatem pięknoty niebieskiej, to znów o dziewczęciu, siedzącem przy kądzieli, opowiada bajkę, „która bardzo brzydko się skończyła,“ a wszystko w sercu poety naszego dzieje się niejako w jednej i tej samej chwili. Podobna wszechbarwność bardzo blizko graniczy z bezbarwnością.

Zarzut ten jednak, niezaprzeczenie ważny a sprawiedliwy, tyczy się głównie drobniejszych utworów p. Czesława („Moja wiosna,“ „Słowik,“ „Na parterze,“ „I my...“ „Sielanka“). Są tu myśli, jest dowcip, ale wszystko to zarysy, linijki, nietworzące figury, niezamknięte. Do „Sonetów“ autor wprowadza takie zadania, które widocznie w ich ramach pomieścić się nie mogły. Gdyby np. w wierszu „Łza“ nie był się skrępował fatalnością kroju sonetowego, a rozwinął myśl główną dalej i jeszcze dalej... mogłaby ona zyskać bardzo wiele. Tymczasem po pięknym wstępie myśl rozbija się na samym końcu — a raczej osiada na mieliznie. Bo, pytamy, czy „po krwawych łzach, płynących pod wioskową strzechą, które liczy i waży Bóg, a świat o nich nie wie,“—czy „po łzach nędzy i ucisku“— powinny były nastąpić „ciche łzy zawodu i rozczarowania“? Myśl to niesprawiedliwa i etycznie i psychologicznie — psychologicznie, bo rozczarowanie, graniczące z przesytem, o którym tylokrotnie wspomina autor nie sprowadza płaczu, lecz „suchy“ sceptycyzm—etycznie, bo po zawodzie i rozczarowaniu nie „łzy,“ lecz innego moralnego objawu spodziewać się należy od męża, któryby był godnym słów: „impavidum ferient ruinae.“ Sonet VII-y jest niepotrzebnem drażnieniem Samsona, któremu obcięto włosy—śpiącemu. Wiersze p. t. „Pierwsza zwrotka,“ „Nowina,“ „Intermezzo,“ „Za wózkiem,“ „Ojciec“ (z wyjątkiem chyba Intermezzo) są prostą zabawką rymotwórczą.

O wiele poważniejszy ton przybiera nasz autor w utworach powieściowych, a mianowicie w „Psyche“ i „Za dni Cezarów.“ W powieści „Psyche“ zamierzył wystawić jakoby ostatni akt teogonii. Po zawaleniu się pogańskiego Olimpu, Psyche, wygnana, schroniła się na kwieciste brzegi Jordanu; błąka się, tęskni i gorzko wyrzeka na swą dolę. Naraz ujrzała anioła, przebiegającego ciemne lazury. Zachwycił ją ten poseł Boga, spieszący do podnóża jego tronu z hołdami i prośbą o litość nad światem. Psyche błaga go, aby zstąpił ku niej lub zabrał ją z sobą. Lecz anioł odmawia, ponieważ Psyche nie może umierać; chyba że który z aniołów położy dłonie na jej czoło. I oto cherub wędrowny zdaleka ujrzał w głuchym stepie umarłą, czy uśpioną dzieweczkę, leżącą na piasku w promieniach księżyca. Pochylił się nad śpiącą, ustami dotknął jej czoła i... dziewica rozbudziła się — jej białe dwa skrzydełka motyle przemieniły się w dwa białe skrzydła anioła. I w końcu Psyche „nad falami Jordanu unosi się ku gwiazdom, śpiewając hymn Panu.“

Dla spojenia tedy ogniw teogonicznych, nie obeszło się, jak widzimy, bez machiny, na którą nie umiał odważyć się Childe-Harold w pieśni II-ej. Pomimo to „Psyche“ jest obrazkiem wcale ponętnym. Powieść p. t. „Za dni Cezarów“ jest utworem najudatniejszym z całego zbioru. Szczególniej budzi uwagę część III: „W ogrodach Mecenasa.“ Rzecz wogóle dobrze tu pojęta i świetnie opowiedziana. Autor nie szczędzi pochlebców ludożerczej Romie i wymierza je, co się zowie, z całego serca (str. 47, 51); że *Prawda* nie potępi tych apostrof, na to złożyła niegdyś wymowne dowody. Gaditana, niewolnica jest postacią nader sympatyczną.

Z drobniejszych utworów zasługuje na uznanie: apostrofa do nocy (str. 110), „Pod krzyżem:“

O świecie!
Nieco mniej świateł daj Panu nad Pany,
A jego biednym dziatkom więcej—ciepła.

oraz sonet VIII „Ostatnie słowo:“

Widziałem—drżąc powracam do tych snów wspo-
[mnienia,
Wzrok mój spoczął na zgasłym i wystygłym globie,
A cisza była wielka na olbrzymim grobie,
Na grobie ostatniego ludzi pokolenia.

Widziałem jak na gruzach zamarłego świata
Archanioł promienisty stanął, jak Jeremi—
I głosem, który z gwiazdy na gwiazdę przelata,
Obwieścił trzykroć: nędzę, nicość i zgon ziemi.

A było to ostatnie długiej skargi słowo
Tej ziemi, w której wsiąkło łez tyle, krwi tyle...
Lecz nie przebrzmiało jeszcze, kiedy światłość nową

Ujrzałem gdzieś w oddali wielkiej—I za chwilę
Zbiegł mgławic blady promień ku naszej mogile— —
Ileż ci takich mogił potrzeba Jehowo!?

Wogóle autor szczęśliwiej wywiązuje się z zadania w treściach poważnych— rzeczy docinkowe, impromptu, allegra itp. widocznie usposobieniu jego nie są odpowiednie i szczerze radzimy, aby zaniechał ich w dalszych seryach. Przytem radzimy unikać pewnych niedokładności w formie wyrażenia i rytmie. Tak np. na str. 51 czytamy: „tu, gdzie teraz stoisz, Był ongi cmentarz — *a zaś na nim...*“ Str. 33: „imiano racyę“—str. 55: tryumfator: *oto idzie.*

K. Lewald.

AUGUSTYN FRĄCZKIEWICZ.

(Wspomnienie pośmiertne).

Zmarły w dniu 31 grudnia r. z. w mieście naszem b. profesor Szkoły Głównej, Augustyn Frączkiewicz, był jednym z najuczeńszych matematyków polskich. Wiedzę, jaką posiadał, zdobył zdolnościami i pracą. Urodzony 19 lipca 1796 r. w Kurozwękach, musiał wcześnie okazywać pociąg do nauki, skoro, jako syn niezamożnej mieszczańskiej rodziny, po ukończeniu szkoły normalnej w Staszowie, następnie wojewódzkiej w Kielcach, udał się (1815) na uniwersytet jagielloński, w którym, po czteroletnich studyach, złożył z odznaczeniem egzamin ze wszystkich przedmiotów matematyczno-fizycznych. Profesorowie ówcześni zapewne ocenili zdolności i dar pedagogiczny młodego Frączkiewicza, jeśli będącemu jeszcze uczniem powierzyli zastępstwo profesora niższej matematyki na uniwersytecie. Tymi wykładami rozpoczął on swoją działalność nauczycielską, w której tak wysoko celował.

W r. 1819 przeniósł się do Kielc, gdzie przez rok jeden uczył w szkole wojewódzkiej, poczem powrócił do Krakowa i tu wykładał w liceum św. Anny. W r. 1825 wyjechał zagranicę dla dalszego kształcenia się. O tym pobycie Frączkiewicza niewiele posiadamy wiadomości, a szkoda wielka. Była to pora prawdziwego rozkwitu wiedzy matematycznej zagranicą. W Paryżu, gdzie się zatrzymał, żył jeszcze znakomity Legendre, działali Cauchy, Poisson, Lacroix, Biot i inni; w Niemczech szeroką sławą cieszyli się Gauss, Dirichlet i wstępował na widownię Jacobi; był to czas, w którym miał niezadługo wystąpić genialny, nieszczęsny, zawcześnie zmarły norwegczyk Abel, ze swemi pomnikowemi badaniami. Wiemy tylko tyle, że w Paryżu młody nasz uczony wszedł w bliższe stosunki z Cauchym; przypuszczamy przeto, że nie pozostał mu obcym ówczesny ruch naukowy, że w towarzystwie badaczów musiało podnieść się i wzmocnić jego zamiłowanie do wiedzy. Dowodzi tego ta okoliczność, że po powrocie do kraju Frączkiewicz nie przestawał się trudnić wyższą matematyką i że bibliotekę swoją wzbogacał bez przerwy dziełami zagranicznemi.

Po powrocie (1826) obejmuje znowu wykłady w liceum św. Anny, doktoryzuje się w uniwersytecie jagiellońskim i wkrótce potem powołany zostaje do Warszawy na zaszczytną posadę profesora stałego algebry wyższej i analizy w uniwersytecie warszawskim. Tu w gronie wykładających na wydziale filozoficznym młody profesor znajduje kolegów: Kajetana Garbińskiego, zdolnego matematyka, znanego z prac swoich zagranicą, a wykładającego geometryę wykreślną i analityczną; Adryana Krzyżanowskiego, autora *Geometryi analitycznéj* i wielu późniejszych prac i rozpraw, uczącego mechaniki analitycznej i matematyki elementarnej i Franciszka Armińskiego (astronomia). Jak prowadził lekcye Frączkiewicz, jaki był zakres kursów jego, nie wiemy; może w papierach po nim pozostałych znajdziemy dane, dotyczące tego ciekawego dla historyi szkół naszych przedmiotu. Musiał jednak z wielkim pożytkiem działać, skoro sława znakomitego profesora, zdobyta na katedrze w tym uniwersytecie, przetrwała dziesiątki lat i jako tradycya przeszła do Szkoły Głównej, w której potem Frączkiewicz wykładał.

Po zwinięciu uniwersytetu zostaje on nauczycielem w gimnazyum gubernialnem i adjunktem w Obserwatoryum warszawskiem, a wkrótce potem członkiem komitetu egzaminacyjnego i profesorem na kursach dodatkowych, późniejszych pedagogicznych. W r. 1853, po wysłużeniu przepisanej ustawą liczby lat służby, podaje się do emerytury i odtąd w zaciszu domowem poświęca się ulubionym studyom.

Drukiem ogłosił prace następujące: 1) *Demonstratio formulae defferentealis ab A. Cauchy*, etc. (Kraków, 1828, rozprawa doktorska). 2) *O gnomonice analitycznéj* (Kraków 1819). 3) *Dowody różnych podań z trygonometryi płaskiéj i geometryi elementarnéj* i t. d. (Kraków 1827). 4) *Dwa wyjątki z rozprawy o czworościanie* (*Roczniki tow. nauk. krak. t. XV*). 5) *Dowód twierdzenia Legendre'a o pierwiastkach wymiernych zrównania stopnia trzeciego* (*Pamiętnik umiejętności czystych i stosowanych*, 1829, t. I). 6) *Rozwiązanie zagadnienia geometrycznego, podanego w piśmie Gergonne'a* (tamże). 7) *O twierdzeniu Eulera* tyczącem się wielościanów (tamże, t. III). 8) *Kilka nowych twierdzeń o kołach stycznych do wszystkich boków trójkąta* (tamże, t. III). 9) *Obserwacye zorzy północnej*, czynione w Warszawie 1842 roku. 10) *Dowody kilku podań geometrycznych* (*Bibl. Warsz.* 1844). 11) Zdanie o dziełku: *Klucz dla objaśnienia praktyczno - arytmetycznych zadań Gurlanda* (*B. W.* 1846). 12) *O obliczaniu miąższości drzewa* (*B. W.* 1856). 13) *Prostszy dowód pewnego sposobu wymierzania linii zewnątrz nieprzystępnej* (*B. W.* 1859). 14) *O wykreśleniu kwadratu danemu kołu blisko równoważnego, podanem przez Willicha* i t. d. (*B. W.* 1859). 15) *O pewnym wzorze na bryłowatość graniastosłupa*, podanym przez profesora Grunerta za nowy (*B. W.* IV). 16) *O najprostszym sposobie wynajdywania średniej geometrycznej, proporcyonalnej między dwiema liniami danemi, wyznaczenia pewnych punktów elipsy* i t. d. (*B. W.* 1860).

Większych prac Fr. nie drukował, dzieła traktującego jakąś całkowitą gałęź nauki nie wydał. Przypuszczamy, że wiele rzeczy może już wykończonych pozostawił w rękopisie. Dziwnie skromny jako autor, nie przywiązywał wielkiej wagi do swojej dzia-

łalności piśmienniczej i, pomimo namowy przyjaciół i uczniów, nie chciał oddawać prac swych do druku. Śmierć da dopiero sposobność przejrzenia tej spuścizny literackiej, a chociaż prace jego są zapewne w części przestarzałe, sądzimy jednak, że na swój czas były w zgodzie z ostatnim postępem nauki, a wydane drukiem w porze właściwej byłyby z pewnością przyniosły wielki pożytek. Czy i o ile Frączkiewicz w tych pracach posunął wiedzę, nie możemy domysłem odgadywać; zdaje nam się jednak, że jego studya matematyczne skierowane były raczej do bogacenia własnego umysłu, do porządkowania i grupowania zdobytej nauki. Fr. przeważnie był matematykiem - pedagogiem; samodzielna praca inwencyjna mniej zdaje się odpowiadała właściwości jego umysłu.

Po dziewięcio-letnim odpoczynku, jako starzec blisko już siedmdziesięcio-letni, zostaje powołany na katedrę wyższej matematyki w nowo otwartej Szkole Głównej. Przyjmuje to wezwanie i jakby rozpoczynając na nowo swą karyerę pedagogiczną, zabiera się do pracy, którą z wielką korzyścią dla młodzieży prowadzi przez cały czas istnienia tej instytucyi.

Jako pedagog — był znakomitym. Lekcye jego nie wabiły może nowością, nie wzbudzały zapału, ale przyciągały treścią, gruntownością, jasnością, układem, formą, usuwały trudności przedmiotu, uczyły szanować wiedzę i pracę. Wszystkie bywały tak starannie układane i wypowiadane z taką dokładnością, bez cofania się i niepotrzebnych dodatków, że notatki słuchaczów mogłyby wprost być oddawane do druku; każda lekcya ciągnęła się zwykle dwie godziny i przechodziła bez znużenia dla uczniów, a tem mniej dla profesora.

Widok tej szanownej postaci, z głową okrytą siwizną, wśród uważnego audytoryum, był istotnie budujący. W oczach uczniów przebijało się bezwzględne zaufanie do przewodnika. Bo też do lekcyj swoich Frączkiewicz przygotowywał się sumiennie, każdą umiał niemal na pamięć, a mówił polszczyzną wzorową. W Szkole Głównej wykładał algebrę, rachunek różniczkowy, całkowy i waryacyjny, rachunek różnic i równania różniczkowe. W uczeniu tych przedmiotów trzymał się albo dzieł klasycznych, albo też wybornych podręczników zagranicznych.

Pamięć jego w tak późnym już wieku musiała być świetną, skoro przez dwie godziny bez przerwy mówił, wszystkie wzory i długie często liczby wypisywał z pamięci, prawie bez omyłki, a na każdej następującej lekcyi powtarzał poprzedzającą bez zmiany. Ta świeżość umysłu, przy zaschłej, wiekiem pomarszczonej twarzy, była zadziwiającą i zdawała się przekonywać, że w ciele starca przebywa dusza młodzieńca.

Wielokrotnie zadawaliśmy sobie pytanie, jaka jest przyczyna czerstwości zdrowia, świeżości umysłu i łagodnego spokoju ducha, czem Fr. zadziwiał kolegów i uczniów. Na pytanie to znajdowaliśmy jedynie odpowiedź w tem, że żył on oddany jedynie pracy i nauce. Nie obojętny na sprawy społeczeństwa, które po swojemu kochał bardzo, ograniczył swą działalność publiczną jedynie do nauczania, a prowadząc życie prawie samotne, bez rodziny, tylko w kółku niewielu przyjaciół, przetrwał burze społeczne, opierając się im zagłębieniem w pracy naukowej i zawodowej. Służył społeczeństwu — jako nauczyciel i krzewiciel prawdy — i służył gorliwie.

W obcowaniu z młodzieżą był uprzejmy, życzliwy, uczynny; jako egzaminator — wzorowy. Jako człowiek odznaczał się niezależnością przekonań, światłymi i postępowymi poglądami i nieposzlakowaną zacnością. Brzydził się fałszem i obłudą, nikomu się nie wysługiwał, chyba tylko sprawie publicznej. Do żadnej koteryi nie należał, o zaszczyty nie ubiegał się, wszelkich oznak hołdu dla swojej osoby unikał. Toteż wszyscy bez wyjątku żywili dla niego niekłamany, głęboki szacunek, wszyscy z czcią witali szanowną postać starca. Był to typ uczonego i profesora z początków tego stulecia, typ szlachetny.

Frączkiewicz, jako nauczyciel, wywarł bezwątpienia wpływ wielki na cały szereg pokoleń. W Szkole Głównej, gdzie nauczał pokolenie o pół stulecia od siebie młodsze, kształcił w rachunku wyższym cały zastęp wychowańców wydziału matematycznego, od otwarcia tego zakładu, aż do jego zamknięcia (1869). Ustąpiwszy z widowni publicznej, w zaciszu domowem spędzał resztę pracowitego i poczciwego żywota.

Przed niedawnym czasem wdzięczni uczniowie ze Szkoły Głównej postanowili żyjącemu jeszcze podówczas mistrzowi poświęcić w hołdzie książkę złożoną z prac jego kolegów i wychowańców. Frączkiewicz umarł, nie doczekawszy się tej książki. Sądzimy jednak, że zamiar wydania dzieła upaść nie powinien, tembardziej, że materyały są już w części zebrane. Będzie ono zasłużonym wyrazem czci. Pamięć bowiem takiego człowieka, jakim był Frączkiewicz, nie powinna w społeczeństwie zaginąć. *).

S. Dickstein.

NAD GROBEM LASKERA.

Gdyby narodowo-liberalizm niemiecki zasługiwał na jakąkolwiek litość, należałoby i jemu jedną łzę poświęcić przy trumnie świeżo zmarłego Laskera. Bo wprawdzie znakomity przywódca dawnej drużyny ks. Bismarka rozstał się z nią przed kilku laty, ale był on zawsze żywą pamiątką jej świetności i najczystszym w jej gronie charakterem. Śród obłudników i zdrajców liberalizmu niemieckiego Lasker błyszczał nietylko zdolnościami, ale i uczciwością. Tak i uczciwością! Jedna z gazet nazwała go słusznie marzycielem, ideologiem, który jako narzędzie w ręku ks. Bismarka służył do celów praktycznych teoretycznie niepożądanych. Olśniony ideą jedności państwa popierał na czele swego orszaku tę straszną zagładę wszelkich prowincyonalnych i narodowych odrębności, której ofiary dotąd nie umilkły w swych skargach. Wyznawca swobody podpisał dotąd trwającą wojnę religijną, uznał zasadę wynaradawiania i prawa wyjątkowe. Patrząc na plony swego posiewu czuł zgryzoty sumienia, które nieraz odsłaniał w swych mowach parlamentarnych, żałując, że przykładał rękę do prawodawstwa zemsty i ucisku. Wawrzyny zebrał jako hetman narodowo-liberalizmu i tę właśnie chorągiew musiał opuścić a potem jej zwycięstw się wstydzić.

Rozbrat kanclerza z niepotrzebną mu czeladzią złamał Laskera, który nagle ujrzał obnażoną z łask wysokiego patronatu ohydę swych towarzyszów. Wtedy dopiero spostrzegł on, że odegrał tylko rolę ważnej, ale przez zręcznego szachistę niemiłosiernie poświęconej figury, która odstawiona na bok musiała boleśnie przypatrywać się dalszemu rozwojowi partyi, nie wywierając już na nią wpływu. Chociaż w rozprawach parlamentarnych, jako gruntowny wielu spraw znawca, głos zabierał, czuć było, że dawną moc swoją stracił i że w odzyskanie jej sam nie wierzy. Polityk umarł w nim tak nagle, jak człowiek — na chorobę sercową.

Był on wymownym dowodem potęgi wiru, w który ks. Bismark znakomitych ludzi swego kraju wrzucał. Laskerowi czystości moralnej odmówić trudno, a jednakże co na jego grobowcu zapisałoby Poznańskie, to samo Poznańskie, w którem się narodził? Germanizacyi, dziś zalewającej rodzimą jego ziemię, on gorliwie odsuwał stawidła i sądził, że służy postępowi i oświacie, a tymczasem szerzył jedynie krzywdę.

Bądź co bądź lepszym był od tych niepoprawnych grzeszników, którym kiedyś hetmanił i którzy dziś z całym cynizmem oblizują się za straconym a niecnie używanym wpływem. Na cieniu ich niecnót jego charakter odbija się kilkoma promieniami jasnymi.

ODPOWIEDŹ P. LINDLEYA.

P. Lindley syn na czynione mu w prasie uwagi odpowiedział a według nas postąpił bardzo uczciwie i bardzo taktownie. Obszerny jego wywód, przeznaczony dla *Inżenieryi i Budownictwa*, porusza i rozjaśnia wszystkie zarzuty, jakie w tem piśmie postawił robotom kanalizacyjnym p. Suligowski. Nic możemy nawet ogólnie powtórzyć całej tej wyczerpującej i dowodowej obrony, gdyż jej materyał jest dla czytelników naszych za specyalny; przytoczymy z niej wszakże te ustępy, które dotyczą kwestyj poruszanych w *Prawdzie*.

Przedewszystkiem p. Lindley protestuje przeciwko błędnej wieści, jakoby on był obowiązany stale przemieszkiwać w Warszawie i objął ster nad robotami kanalizacyjnemi jedynie wskutek usunięcia się jego ojca. Dalej pisze: „Autor p. Suligowski utrzymuje, że w kontrakcie należało określić: prawne miejsce zamieszkania w Warszawie, obowiązek stałego w niej pobytu i ubezpieczenie interesów miasta kaucyą... Ani w jednym z wielu kontraktów, zawartych z dużemi miastami, nie zgodziliśmy się na takie warunki; a ponieważ inicyatywa do umowy wyszła nie od nas, lecz od miasta, pragnącego skorzystać z naszego technicznego doświadczenia i wiedzy, nie mieliśmy żadnej zasady przyjmować warunków nieodpowiednich dla nas a będących w sprzeczności zarówno z przedstawioną nam ustawą, jak i z pobocznemi naszemi zobowiązaniami. Widocznie, prócz mojego udziału w ułożeniu projektu, autorowi nieznane są także i okoliczności, poprzedzające zawarcie kontraktu. Skoro z wielu stron poczyniono uwagi krytyczne nad projektem, p. Prezydent dał sposobność mnie i moim przeciwnikom rozebrania wspólnie kwestyj spornych na posiedzeniach publicznych.“ Wynikiem owych posiedzeń było to, że obecni zapisali do protokółu życzenie, ażeby p. Prezydent postarał się o możliwie najprędsze zatwierdzenie projektu z Lindleyami. Podobny rezultat narady nie dawał powodu do robienia przy następnych układach takiej różnicy między ojcem a synem w stosunku do miasta, jaką dziś chce widzieć p. Suligowski, tembardziej, że Lindley syn sam bronił projektu w Petersburgu, uważany więc był również wobec władzy za odpowiedzialnego.

Nieprawdą jest także, według p. Lindleya, jakoby po podpisaniu kontraktu wyjechał do Frankfurtu. „Udałem się — pisze on — prosto do Londynu, ażeby wyszukać doświadczonego inżeniera dla kierowania robotami wodociągowemi a jednocześnie poleciłem mojemu biuru we Frankfurcie wypracować na mój własny koszt i według moich wskazówek niezbędne pro-

---

*) Frączkiewicz był członkiem korespondentem Akademii umiejętności w Krakowie i honorowym Towarzystwa przyrodników imienia Kopernika we Lwowie. Na trumnie jego w d. 3 stycznia r. b. złożono 4 wieńce: od kolegów i uczniów zmarłego, od Towarzystwa Kopernika i od studentów matematyków uniwersytetu w Warszawie. Nad grobem przemawiali: Jurkiewicz i Sulimierski.

jekty jako podstawę do najpierwszych robót. Że natychmiast po zawarciu kontraktu nie mogłem przysłać do Warszawy głównych swoich pomocników, pojmie każdy, kto rozumie, jak ważnem było dla mnie znalezienie ludzi zdolnych, którzy rzadko bywają wolni i naturalnie nie mogą zaraz na pierwsze wezwanie porzucać miejsc, dotąd zajmowanych.“

Z kolei p. Lindley obala zarzut, jakoby sprowadził sobie do pomocy dwu niedoświadczonych młodzieńców: jeden z nich bowiem ma lat 39 i brał udział w szeregu wielkich przedsięwzięć wodociągowych, drugi zaś 30 i już przez 10 pracuje w swym zawodzie.

Po tych wyjaśnieniach osobistych p. Lindley rozpoczyna długi szereg sprostowań technicznych oraz finansowych, które czytelnik szczegółowo poznać może w *Inżenieryi* i *Budownictwie*. My tylko dołączymy jeszcze kilka słów o stosunku prasy i opinii publicznej do p. Lindleya i robót kanalizacyjnych.

Nie należy się dziwić ani społeczeństwu, ani pismom publicznym, że w sprawie tak ważnej okazują wiele obawy a nawet podejrzliwości. Jesteśmy biedni, zaniedbani i wyzyskiwani, wszelkie więc postrachy wywierają na nas silne wrażenie. Z tego też źródła wypłynęła wrzawa przeciwko inżenierom angielskim, wzmocniona i usprawiedliwiona głosami specyalistów miejscowych. Ale z drugiej strony mamy dosyć rozsądku i sprawiedliwości, ażeby własne obawy uspokoić a cudze usiłowania ocenić. Tego rodzaju zaś komentarze, jak odpowiedź p. Lindleya, bardzo nam do tego pomagają. Przypuściwszy nawet, że p. Suligowski wiele swych twierdzeń dowodami podeprze, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że w wielu również musi uznać swe pomyłki i błędne informacye. Obu strzedz się powinni zwłaszcza ludzie, dla których znajomość rzeczy jest obowiązkiem. Od krytyki robót kanalizacyjnych nikogo odstręczać nie myślimy i nie zalecamy nikomu tej owczej pokory, której niemal wymagał p. Janicki w *Gazecie Polskiej*, grożąc upartym, że jeśli p. Lindleyowi dokuczymy, to nas porzuci i zostawi na opiece boskiej; ale uważalibyśmy za rzeczywistą szkodę bezzasadne rzucanie kijów pod nogi inżenierom angielskim. Niech oni z całą sumiennością wykonają to, do czego się zobowiązali, ale niech nie muszą walczyć z naszem uprzedzeniem i dyletantyzmem. Ile razy zaś ich dobra wola nie będzie dla nas dość wyraźną, zaufajmy szczerej trosce o dobro miasta najzacniejszego człowieka i obywatela, tyle razy dowiedzionej uczciwości prezydenta Starynkiewicza, który jest najbliższym i może najkompetentniejszym kontrolerem robót kanalizacyjnych.

LIBERUM VETO.

Głos sumienia i mój upór. — Reguła i wyjątek, który uwalnia od czytania. — Kochankowie ilustracyi. — Zawiązki stronnictw. — *Świt*.—Zgon *Echa*. — Krótki jego życiorys. — Metampsychoza. — Menonici. — Ostatnia karta. — Naturalny obstalunek. — *Dziennik łódzki*. — Pierwsza wyprawa polska do Azyi Mniejszej. — Petermann i Znatowicz.—Pamfilia.—Prawdopodobne zyski.

Nie, chociażby mnie to naraziło na zarzut lekceważenia tradycyi i obrażenia swojskich obyczajów!

Ile razy na tem miejscu biorę pióro do ręki, zawsze słyszę w sumieniu mojem grzmiący głos:

— Ostatni numer *Tygodnika powszechnego* wyszedł, czyń, coś powinien.

Wtedy wstrząsam się, uczuwam chęć spełnienia obowiązku, ale powoli wraca mi odwaga i... zaczynam z czytelnikami mówić o czem innem. Tajemniczy duch nie zraża się moim uporem i drugiego tygodnia woła:

— Ostatni numer *Kłosów* wyszedł, czyń, coś winien.

I ja znowu nic nie czynię, chociaż w sumieniu usłyszę groźną przestrogę:

— Pamiętaj, że ostatni numer *Tygodnika ilustrowanego* wyszedł!

Trzeba istotnie dziwnej zatwardziałości, ażeby nie uledz tym wyrzutom. Bo nie odgadniecie, w czem leży ich waga. Nie licząc nowin reporterskich, chyłkiem lub jawnie pożyczanych przez jeden dziennik u drugiego, dla większości pism naszych prasa polska nie istnieje, a przynajmniej nie dostrzegają one w niej nic, coby zasługiwało na powtórzenie. Gdy *New-York-Herald* albo nawet *Schorndorfer Zeitung* bąknie, że bułki warszawskie mają dwie skrzyżowane bruzdy, lub też, że p. Marmoladzki (koniecznie rodak) obwołany został królem kurkowym, natychmiast kilkaset tysięcy polaków dowiaduje się o tem. Ale gdy jakiś organ warszawski zabierze głos poważny w najdonioślejszej sprawie, może być pewnym, że jego wyznań najserdeczniejsi przyjaciele przed swoimi czytelnikami nie zdradzą. Co ich obchodzi zdanie ziomka; gdyby usłyszeli je z ust papuasa!

Jak w każdej wszakże regule, tak i w tej istnieje jeden wyjątek na korzyść wydawnictw ilustrowanych (o drugim niżej). Przed każdym ich numerem staje gromadka opinii i powiada:

— Narodzie, spojrz na tego kota, wypijającego śmietankę, co za wdzięk!

— A tą elegancka dama, patrząca w strumień, czyż nie jest symbolem wyższych porywów ducha?

— Doznajemy otuchy na widok dwu tych cieląt, majestatycznie przeżuwających strawę!

Innych wykrzyków przypominać nie będę, gdyż idzie mi tylko o fakt zachwytu, na który składa się wiele przyczyn, ale między niemi zapewne i możność pisania bez czytania. Ilustracyę dość obejrzeć, a jeśli jej wydawca posiada u krytyka nieprzerwane konto pochwał — artykuł za kilka minut gotów. Niemal każdy dziennik ma jedną lub dwie tego rodzaju kochanki, do których co tydzień smaruje ody.

Teraz pojmujecie, czemu mnie sumienie tak dręczy, a zaraz wam wytłomaczę, czemu z tych ilustracyjnych romansów mocno się cieszę.

Mamy wreszcie zawiązki stronnictw! Skutkiem wzrastającego współzawodnictwa między ilustracyami miłość ku nim coraz bardziej się specyalizuje. *Kłosy* mają swoich kochanków, a *Tygodnik ilustrowany*, *Powszechny*, *Echo teatralne i muzyczne* oraz *Bluszcz* swoich. Dawniej można było uczucia przenosić dowolnie, dziś trzeba je ograniczyć. Albo *Kłosy*, albo *Tygodnik powszechny*, albo *Bluszcz*, albo...

Ta niewinna roślina wymaga szczegółowego objaśnienia. Od niedawna, jeśli mnie pamięć nie zawodzi—od czasu przejścia skołatanej *Mody* na własność p. Lewentala, *Bluszcz* znalazł wielbicieli, którzy zapłonęli ku niemu tak nadzwyczajną miłością, że każdy nowy jego listek witają jak Faust Małgorzatę na balkonie. Mój Boże, jest tyle milionów ludzi, których wiadomość, że *Moda* wychodzić będzie pod tytułem *Świt* i redakcyą pani Konopnickiej, nie przejęła żadną trwogą; a jednakże między tymi milionami istnieje parę istot, które uczuły dotkliwy dreszcz! Czyż nie szczęście, że przynajmniej dusze te znalazły troskliwych pocieszycieli? Musi to być sprawiedliwe zrządzenie losu, skoro znowu w tej chwili słyszę:

— Ostatni numer *Bluszczu* wyszedł, czyń...

Nie mogę, bo idę na pogrzeb *Echa*. Kaszląc od lat kilku biedne zmarło na suchoty. Gdym przeczytał jego nekrolog, pomyślałem wzruszony: któż teraz będzie pomieszczał między ogłoszeniami płatne paszkwile i wymyślał na *Prawdę!* Szkoda go. Przechodziło też w krótkim żywocie swoim burzliwe koleje! Kiedy jeszcze spoczywało w kołysce, ojciec naradzał się z kumami, czy je ochrzcić po katolicku, czy zostawić bezwyznaniowem i sam przechylił się na drugą stronę, ażeby "nie zrazić żydów.“ Ale wkrótce oddał je na służbę do plebanii i szlacheckiego dworu, a nareszcie porzucił. Ilu ono potem miało ojców przybranych wszelakiego wyznania, policzyć bym nie umiał. Było arystokratycznem i mieszczańskiem, szlacheckiem i demokratycznem, postępowem i zachowawczem. Na rok przed zgonem, skutkiem częstych napadów gorączki, majaczyło nieraz dziwacznie, pasując się z chorobą. Nareszcie d. 5 stycznia oddało ducha Bogu a raczej *Słowu*. Jest to więc właściwie nie śmierć, ale metampsychoza. Czy dusza zmarłego przeszła za winy w gorsze, czy za cnoty w lepsze ciało? Odpowiedzieć nie umiem; to tylko pewna, że znajduje się obecnie w innem. Podczas bowiem gdy *Echo* skonało z przekleństwem na ustach dla żydów, *Słowo* zachowuje im w swem sercu dość obszerny kącik. Z powodu tej różnicy wybuchały nawet między nieboszczykiem a jego nowem wcieleniem ostre spory, które on w swym testamencie unieważnił, wyraziwszy cześć dla przeciwnika i zupełną z nim zgodę. Dziś *Echo* jest ideałem dla *Słowa* a *Słowo* ideałem dla pogrobowców *Echa*, a ponieważ oba te pisma przechwalały się, że nie kłamią, przypominają mi pewną anegdotkę. Menonici słyną z prawdomówności. Otóż raz wyznawca tej sekty, prowadząc na targ kalekiego konia, spotkał należącą również do niej kobietę, która wiodła lichą krowę. Zręczna niewiasta rzekła do swego towarzysza: „Daj ty mi za krowę, ile chcę, ja ci dam za konia, ile chcesz.“ — „Dobrze.“ Przybyli na targ. Gdy kupcy dziwili się wysokim cenom sprzedawanych zwierząt, menonita powoływał się na menonitkę a ona na niego, że sobie tyle ofiarują. Jakoż znaleźli szybko nabywców, którzy za konia i krowę zapłacili żądane sumy, bo byli pewni, że menonici nigdy nie kłamią. W tem samem położeniu są abonenci obu wspomnianych pism. Ale wobec majestatu świeżej mogiły nie żartujmy, zwłaszcza że śmierć *Echa* ma swój bardzo tragiczny moment. Wydawca tej gazety nie zamknął jej przed 1 stycznia, lecz jeszcze pokładał nadzieję w prenumeracie noworocznej. Ale i ta karta zawiodła. Wtedy nie pozostawało nic innego, jak „zlać się“ ze *Słowem*.

Nietylko nie płaczę nad tem uschnięciem jednej gałązki naszej prasy, ale sądzę, że zyskałaby ona na zrośnięciu się kilku innych, tak bliźniaczo do siebie podobnych, że najzupełniej rozumiem tych, co do księgarń posyłają obstalunki: „proszę mi zapisać *Gazetę Warszawską*, albo *Wiek*, albo *Słowo*, co tam od was bliżej, bo mnie wszystko jedno, abym tylko miał politykę.“ Gdyby rozproszeni po kilku dziennikach czytelnicy skupili się przy jednym, daliby mu większe środki i wtedy zapewne "telegramy własne“ nie potrzebowałyby z Berlina do Warszawy przybywać pocztą, lecz drutem.

Zresztą, jeśli po zgonie *Echa* zrobiła się dziurka, to ją zatkał *Dziennik łódzki*, który od nowego roku ma jaśnieć nad naszym światem przemysłowo-handlowym. Rozpalanie się ogniska życia umysłowego na prowincyi jest objawem bardzo pocieszającym, a tak zwany naiwnie "polski Manchester“ winien już był dawno posiadać organ polski, jeżeli ta niemiecka kolonia niema pozostać obcym klinem. Życzę też nowonarodzonemu najpomyślniejszej doli a jego rozwój sprawi mi większą przyjemność, niż zdobycze hr. Lanckorońskiego w Pamfilii.

Bo trzeba państwu wiedzieć, że wysławszy *„pierwszą* wyprawę polską do Afryki,“ przygotowywamy na rok bieżący *„pierwszą* wyprawę polską do Azyi Mniejszej.“

Tak jest, mości dobrodzieju, nie żadne kpiny! Hr. Lanckoroński — według zapewnienia dzienników galicyjskich — porozumiał się już z kilkoma niemcami i zaniesie naszą chwałę na grunt klasyczny. Głównie skorzystają na tem — jak i na ekspedycyi p. Rogozińskiego — *Mittheilungen* Petermanna, ale i to wiele znaczy, że *Kuryer Warszawski* wydrukuje nam od czasu do czasu list „wodza,“ donoszącego o zawartych z dzikimi ludźmi przymierzach lub o płynących za okrętem rybach żarłocznych. *Wszechświat* zaś jak połykał ślinkę, tak niech połyka ją dalej, bo co Petermann, to nie Znatowicz, któremu przecie ani p. Rogoziński z Afryki, ani hr. Lanckoroński z Azyi korespondencyj przesyłać nie może. I ktoby się spodziewał, że dla ludzi bogatych u nas Pamfilia jest najpilniejszem do pracy polem! Wyznam szczerze, iż mi to nawet w głowie nie postało. Nie sądziłem nawet, ażeby w Galicyi już tak wszystkie odłogi były zorane i wszystkie zagony obsiane, że energicznemu i żądnemu czynów umysłowi pozostaje tylko — Pamfilia.

Za obecną moją pogadankę oczekuję wielostronnej wdzięczności. Ile razy bowiem *liberum veto* zwrócę przeciw któremukolwiek z pism, natychmiast staje się ono przedmiotem ogólnej i niczem niewywołanej owacyi kilku innych. Temu pośredniemu sposobowi odbijania „strzyżonego“ „golonem“ może niejeden organ naszej opinii zawdzięcza nagle przyjacielskie uściski. Ponieważ zaś dziś, bardziej niż zwykle, zająłem się prasą, więc już czytam: „*Słowo* zamieściło gruntowny artykuł o mundurach anamskich. Wogóle dziennik ten itd.“ Śmiem nawet przypuszczać, że może i hr. Lanckoroński coś na tem zyska; aby tylko *Dziennik łódzki* nie stracił.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Pisarz, elegancki mściciel, okólnik gubernatora.—Alkohol jako potężny czynnik agitacyi przedwyborczej w powiatach nadgranicznych. — Zgorszenie pani radczyni. — Samorząd Kamieńca podolskiego i walka ziemi z niebem. — Przebudzenie się Polesia.

Działo się to w gubernii łomżyńskiej, w powiecie, którego główne miasto upamiętniło się w naszej historyi.

Przed kancelaryą gminną N. zatrzymał się elegancki obywatelski powóz, w którym para rączych koni ciągnęła jednego pana i dwóch jego „ludzi.“

— Hej! jest tam kto? — zawołał właściciel powozu, koni i ludzi.

Pisarz gminny, człowiek rozsądny i zapewne zdemoralizowany postępem, uznał owo energiczne zapytanie za zbyt stajenne, wyjrzawszy więc przez lufcik, odpowiedział.

— Niema nikogo!

Powóz potoczył się dalej. „Ludzie“ przygryzali wąsów i potrącali się łokciami, a pan poprzysiągł w duchu zemstę wszystkim niepokornym wogóle i pisarzom gminnym w szczególności.

W kilka dni potem dwór eleganckiego mściciela rozbrzmiewał dźwiękami balowej muzyki. Na uczcie, gospodarz domu po kolacyi zaczął utyskiwać na zepsucie czasów dzisiejszych, w których nawet pisarze gminni nie wybiegają na zawołanie do stopni powozu, podczas gdy każdy wyżeł nawet nie tresowany, zrobiłby tę z pewnością. Oblicze niektórych osób zasępiło się i smutnem było aż do końca zabawy. Pisarz został przeniesionym na inną, daleko gorszą posadę.

Zdarzenie to, o którem mi opowiadano, opisałem tutaj umyślnie, aby wykazać, jakie to bajki krążą wśród nas bezkarnie. Wiadomo przecie, iż jeszcze przed rokiem gubernator łomżyński wystosował do kogo należało okólnik, polecający, aby władze administracyjne pod żadnym pozorem nie wpływały na zmianę lub wybór wójtów, sołtysów, pisarzów i aby obsadzanie tych stanowisk pozostawionem było niczem nieskrępowanej woli wyborców.

Z klejnotem samorządu ciemni wieśniacy nasi obchodzą się zresztą czasem, jak dzicy ze złotym piaskiem swoich wybrzeży. Jednym i drugim sprytni spekulanci odbierają złoto za flaszkę wódki. Szczególnie pod tym względem zepsucie, jak zapewniają gazety, ma się szerzyć u nas w nadgranicznych powiatach gubernii płockiej. W pewnej gminie np. agitacya przedwyborcza odbyła się w taki, na zachodzie mniej uprawiany sposób. Wójt, któremu jego stanowisko dało więcej mamony, niż zaufania współbraci, postanowił wycofać się z honorem. Aby jednak tradycya służenia ogółowi w rodzinie nie wygasła, następcą po sobie mianował syna. Na jednym z jarmarków, poprzedzających wybory, stoczono walną kampanię. Rozstawieni w kilku szynkach „przyjaciele,“ zalewając robaka z miejscowymi i przyjezdnymi Bartkami, uzbierali dla następcy tyle właśnie kresek, ile potrzebował troskliwy ojciec. Winnej osadzie śród wyborców skrystalizowały się przeciw dawnemu wójtowi dość wyraźne i ciężkie zarzuty. Ten jednak, pragnąc na miejscu swem pozostać, umyślił wszystkie czarne zamiary ziomków rozpuścić w spirytusie. W tym celu, kupiwszy dwie beczki wódki i umieściwszy u sołtysa, sprzedawał ją za... kreski wyborcze. Rezultat — jak wyżej.

— *Mais c'est horrible!* Zawołała znajoma mi żona pewnego radcy, którą o faktach powyższych oświeciłem; skąd się w tym biednym ludzie bierze taka demoralizacya; kiedy mu nikt złego przykładu nie daje. U nas, jeżeli się chce zostać prezesem np. jakiegoś stowarzyszenia, to się kilkunastu znajomym panom pożycza po parę akcyj i rzecz skończona. Potem, co prawda, idzie się na jakieś śniadanko, ale sam Stępkowski może zaświadczyć, że prostej wódki nikt tam nie pije.

Bardziej od naszych osad nadgranicznych może być zadowolonym ze swego samorządu — Kamieniec podolski. Korespondent *Wieku* oddaje municypalności tego miasta tak wielkie pochwały, na jakie niejeden u nas magistrat długo jeszcze czekać będzie. Główna podzięka należy się podolakom za energiczną ich dbałość o zdrowie trapionych przez błonicę i ospę współbraci. Klęska ta od lat wielu szerzy się przeraźliwie na Podolu i Ukrainie i dzisiaj jeszcze nie przestaje porywać drobnej dziatwy, ale zarząd miejski Kamieńca będzie miał prawo powiedzieć sobie, iż zrobił wszystko, co mógł, aby liczby aniołków zbyt gwałtownie nie powiększać. W pewnych wypadkach walka z niebem jest dozwolona kodeksem ziemi.

Z inną niemocą postanowili walczyć mieszkańcy odległych zakątków Polesia. Wypowiadają oni wojnę ciemności. W mieście powiatowem Rzeczycy zrodził się projekt otwarcia gimnazyum, w Mozyrzu zaś taki sam zakład ma powstać z istniejącej już tam szkoły niższej.

Jeden z poleszuków przez usta *Gazety Polskiej* proponuje rodakom swym założenie w Rzeczycy gimnazyum akcyjnego, na wzór takiejże szkoły powstającej obecnie w Kijowie. Propozycya ta, której szczegółowe i gruntowne uzasadnienie przedstawił korespondent *Gazety*, zasługuje na najsilniejsze z naszej strony poparcie. Jakkolwiek bowiem „zaczytywanie na śmierć“ zajmujących powieści i romansów stało się miejscowem w okolicach Rzeczycy przysłowiem, to jednak pożądanem jest, aby też poważniejsze książki i pisma nasze nie przerażały tamecznych wielbicieli beletrystyki.

Wogóle — zdawać się może, iż nad zapadłą krainą poleską słońce cywilizacyi coraz śmielej promienie swe rozpościerać będzie. Osuszenie błot pińskich i przeprowadzenie sieci kanałów ożywiło, jak zapewniają pisma codzienne i przemysł i handel tameczny i wpłynęło znakomicie, jeżeli nie na zupełne uspołecznienie mieszkańców, to przynajmniej na oswojenie ich z myślą o postępie. Najlepszym tego dowodem jest to, iż podczas gdy w ciągu pierwszych kilku lat robót kanalizacyjnych inicyatywa prywatna słabo się tylko ujawniła, dzisiaj znaczenie jej zwiększyło się w czwórnasób. W dość znacznej sumie, ofiarowanej przez samych mieszkańców na sprawę osuszenia bagnisk, *połowę* stanowią drobne kwoty — poleskich wieśniaków.

Maryan Bohusz.

Nasza medycyna na prowincyi. Ile złego sprawiają u nas pokątni doradcy prawa, ile nieświeconych doprowadzają do ruiny, o tem już dziś wiemy wszyscy, ale może nie wszyscy wiemy, jaką szkodę zrządzają pokątni doradcy — medycyny.

Niejednokrotnie prasa nawoływała młodych medyków do osiedlania się na prowincyi; dotąd jednak prawie daremnie. Są u nas nierzadko miejscowości, pozbawione lekarza w kilkumilowym promieniu, a przecież w takich zakątkach ludność także choruje. Całym skarbem wieśniaka jest zdrowie, umie też on dziś już cenić je i pomocy szuka. Ale zamiast niej spotyka nieumiejętność lub szalbierstwo. Każda niemal wieś ma felczera, cyrulika, odstawnego żołnierza, który służył w szpitalach wojskowych i często znachora. Cała ta falanga wyzyskiwaczów żyje i utrzymuje się z tumanienia biednych i ciemnych chorych, tracących grosz krwawo nabyty na grabicieli, którzy przeróżnymi sposoby okpiwają łatwowierność, zamawiając, odczyniając uroki, dając sproszkowaną cegłę, kredę lub liść pierwszej lepszej rośliny, wodę zabarwioną itp. Zaledwie potrzeba dodawać, że środki te prowadzą chorego najkrótszą drogą z łóżka do trumny. Nawet felczerzy patentowani, mający wielką pretensyę do znajomości medycyny, używają zwykle leków silnych z własnej apteczki, która w nieumiejętnych rękach jest arsenałem morderczym.

Patrząc codziennie na straszne skutki takiej zabójczej praktyki, dziwić się trzeba, dlaczego te nadużycia przechodzą bezkarnie. Naszemu nieoświeconemu ludowi dziwić się trudno, że szuka porady u szarlatanów, boć on nie zna nawet różnicy między lekarzem a felczerem i w prostocie ducha każdego kuglarza, frymarczącego zdrowiem ludzkiem, nazywa doktorem. To też, obok niezmiernej śmiertelności, widzimy śród ludu mnóstwo kalek, pozbawionych słuchu, wzroku i t. p.

Zachodzi pytanie, jak położyć tamę tej klęsce?

Sądzę, że: 1) Władze powinny rozpostrzeć czujniejszy nadzór nad pokątnymi doradcami medycyny. 2) Lekarze ze swej strony winni zawiadamiać o dostrzeżonych nadużyciach, nie zrażając się nawet wyrokami sądu, uwalniającymi od kary przestępców dla braku dostatecznych dowodów. 3) Kazalnica obowiązana również przyjść koniecznie w pomoc, oświecając w tym przedmiocie lud.

W guberniach zachodnich „wołości“ poustanawiały pensyonowanych lekarzów, felczerów i bezpłatne apteki dla niesienia ulgi miejscowej ludności. Cel był dobry, lecz, jak dotąd, osiągnięto tylko ujemne rezultaty. Lekarz pensyę pobiera bardzo nieznaczną, obszar zaś powierzony jego opiece jest bardzo rozległy; w najlepszych więc razach przyjeżdża raz miesięcznie na godzin kilka, obejrzy chorego, jeżeli jaki znajdzie się pod ręką i odjeżdża do domu, pozostawiając go na łasce miejscowego felczera z ziemską apteką. Felczer ów jest właściwym lekarzem i aptekarzem okolicy. Za każdą poradę i lekarstwo, mimo stałej pensyi, obdziera niemiłosiernie prostaczków, a niejeden z nich odbywa po wioskach formalne łowy. Przybywszy do chorego,

zawiadamia o tem całą osadę, każdemu daje różne środki z podróżnej swej apteczki, wyciągając w zamian, co tylko nasz kmiotek ma w pogotowiu: gęś, kurę, prosię, zboże itd. Zuchwalstwo tych „konsyliarzów“ dochodzi do tego stopnia, że znalazłszy u chorego lekarstwo, zapisane przez lekarza, dowodzą, że jest niewłaściwe i używać go zabraniają. Powracających z łowów często spotykałem, obładowanych większemi łupami, niż dawni bernardyńscy kwestarze. Nic też dziwnego, że po latach praktyki kilku w jednej miejscowości stają się właścicielami porządnego folwarku, o czem świadczą liczne tego przykłady. Po miasteczkach zaś, szczególnie w dnie targowe, na każdym rogu ulicy zaczepia przejezdnych faktor cyrulików, zachwalając wysokie zdolności i naukę swego patrona.

Szalbierstwo podobne i ten skutek za sobą pociąga, że lud traci wiarę w prawdziwych lekarzów. Jeżeli zaś lekarz osiądzie na prowincyi, nie wytrzymuje współzawodnictwa z całą czeredą wyzyskiwaczów.

Ludność wiejska jest przyzwyczajoną do radców, którzy kuracyę zaczynają w karczmie, rozogniając cudownemi opowiadaniami wyobraźnię prostaczków. Nadto ci ostatni nie zawsze mogą jechać cztery lub pięć mil po doktora i płacić mu pięć lub dziesięć rubli; on zaś poświęceniami nie nakarmi się. Wobec tego, czy nie należałoby użyć sposobu, stosowanego z powodzeniem za granicą? Lekarz, osiadły w miasteczku, wyjeżdża stale w dniach oznaczonych, trzy lub cztery razy tygodniowo, do pewnych większych włości w różne strony; chorzy, wiedząc poprzednio, kiedy przybędzie, zbierają się z przyległych bliższych miejscowości lub przysyłają po niego.

Skreśliwszy tych kilka wierszy, sądzę, że każdy dobrze myślący obywatel kraju winien ratować przed jawną grabieżą zdrowia i mienia swych młodszych współbraci. *St. O.*

Kijów. Kasyerowi banku Swirydowowi, który za ukradzenie 200,000 rs. został niewinnym, wytoczono nowy proces o sprzeniewierzenie 1,000 rs.

Kamieniec. Nabywcy majątków od rządu, korzystający z pewnych dość znacznych przywilejów, dawać muszą zobowiązanie, że nie wydzierżawią ziemi ani polakowi, ani żydowi. Jeden z takich uprzywilejowanych prof. uniwersytetu odeskiego Bogdanowskij wystąpił do sądu z żądaniem unieważnienia zawartego przezeń kontraktu dzierżawnego z żydem, niejakim Bejną. Sąd oddalił jednak akcyę, ponieważ skarżący sam naruszył swe zobowiązanie.

Lublin. Pp. Milicer, Sporny i Diehl powtórzyli tu odczyty miane poprzednio w Warszawie. Dochód przeznaczony został na założenie ochrony dla dzieci.

Wieluń. Korespondent z tego miasta do *Kaliszanina* uskarża się, że strażnik ziemski dostrzegłszy źle ocembrowaną studnię, źle zbudowany komin lub inne przekroczenie obowiązujących przepisów nie może sprawy doraźnie załatwić, ale musi udać się ze skargą do sądu, co pociąga za sobą wiele kłopotów!

Kowno. Miasto zamknięte w widłach między Wilią i Niemnem rozrasta się i po drugiej stronie rzek tworzą się przedmieścia. Przewóz na Wilii jest własnością księcia Wittgenstejna, który wynajmuje go dzierżawcy za 12,000 rs. Ten ostatni obdziera niemiłosiernie przyjezdnych, biorąc po 10 kopiejek od konia w zwyczajnych warunkach a czasami i po rublu. Wygórowane opłaty tamują ruch i wpływają po części na drożyznę produktów.

Mozyr. Miejscowe progimnazyum zamienione zostało na gimnazyum. Suma potrzebna na rozszerzenie gmachu szkolnego i zakupno różnych utensyliów zebraną zostanie w drodze składek.

Węgrów. Ciekawa sprawa prasowa toczyła się przed sądem gminnym w Stoczku. Pisarz gminny Kamionna p. Piotr Szczurek pisywał do *Gazety Świątecznej* korespondencye, w których malował czarnemi barwami sprawy miejscowe. Na jeden z listów odpowiedział w tejże gazecie włościanin z Kamionny Punikoski i w końcu nadmienił, że główną plagą w gminie są... szczury. P. pisarz wziął to za obelgę i za „przykładem bogów“ podał skargę do sądu. Sędzia jednak uznał się za niekompetentnego i umorzył sprawę, pozostawiając stronie skarżącej możność udania się do sądu okręgowego.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 9 stycznia.

Traktaty pokojowe z Madagaskarem i Anamem. — Kłopoty rządu angielskiego. — Sprawy wewnętrzne Austro-Węgier.—Zamknięcie posiedzeń zebrania bulgarskiego.

Otwarte po świątecznej przerwie posiedzenia Izb francuskich zajmą się rozpatrzeniem i zatwierdzeniem nowych traktatów. Pierwszy z nich zawarty z rządem madagaskarskim, przynosi Francyi, oprócz korzyści handlowych, ustępstwo północnej części tej wyspy. Drugi, posiada większe jeszcze znaczenie dla rzeczypospolitej. Nowy monarcha anamski potwierdził układ pokojowy, przyjęty przez jego poprzednika, a nawet zgodził się na niektóre dodatkowe punkty, jak np. osadzenie cytadeli w Hue przez wojska francuskie. Anglia podobnemi powodzeniami pochlubić się nie może. Stan rzeczy w Egipcie staje się coraz groźniejszym i wbrew zdaniu Gladstone'a wystąpienie zbrojne przyjdzie zapewne do skutku. Mahdi zyskuje coraz więcej zwolenników i dociera do granic właściwego Egiptu. Z drugiej strony Abisynia gotuje się do odebrania wydartych jej prowincyj. Kedyw wezwał rząd brytański o pomoc, w razie zaś odmowy oświadczył, że zmuszony będzie wschodni Sudan odstąpić Turcyi a ograniczyć się jedynie do obrony Egiptu.

Święta już minęły, więc można dostrzegać i wskazywać drżącemu od niepokojów światu bodaj „małe chmurki.“ Jedna z nich zarysowała się właśnie w ostatnich dniach nad Nilem. Podczas gdy anglicy grożą opuszczeniem pola, skrwawionego ciałami armii Hicksa-baszy i gotowi popełnić — według gen. Gordona — „zbrodnię“ przez wystawienie 7,000 żołnierzy, stojących w Chartumie, narzecz, wieść szepcze drugim językiem, że w Londynie roztrząsają „projekt pięcioletniego protektoratu nad Egiptem.“ Rzecz zatem przedstawiałaby się tak: Anglia chce Mahdiemu pozwolić na zapuszczenie zagonów aż do czasu, gdy przestraszona ludność wezwie jej pomocy, mocarstwa dadzą jej „mandat,“ a „zagrożone interesy europejskie“ wysyłkę czerwonych mundurów usprawiedliwią. Byłaby to komedya zawiązana dosyć zręcznie. A ma ona w sobie dość prawdopodobieństwa, bo trudno przypuścić, ażeby Anglia, tak drażliwa na cudze zabory w Afryce i chciwa zdobyczy na własną korzyść, obojętnie przyjmowała oderwanie się Sudanu lub też ofiarowała go Turcyi. Zwietrzyła widocznie czujnym węchem obdarzona *Nord. Allg. Zeitung*, gdzie „leży pies pogrzebany,“ skoro ostrzega, że postępowanie Anglii w Egipcie może doprowadzić do poważnych zawikłań. To znaczy: nie udawaj John Bullu, że uciekasz, bo widzimy, że się skradasz! I oto jest chmurka!

Centraliści austryaccy, w razie nie przyjęcia ustawy o języku niemieckim jako państwowym, grożą opuszczeniem Rady państwa. Dzienniki francuskie ganią tę ich postawę otwarcie, wypowiadając zdanie, że Austrya musi stać się słowiańską, że to leży nawet w interesie narodu niemieckiego, jako przeciwwaga dążeniom panslawistycznym Rosyi. Czy tak zwani wiernokonstytucyjni usłuchają rady z Berlina—trudno przewidzieć; na wszelki jednak wypadek rząd przygotowany jest na rozwiązanie parlamentu. Dla porozumienia się co do nowych wyborów namiestnik Galicyi p. Zaleski wezwany został do Wiednia.

Dla Galicyi prawo o języku państwowym jest kwestyą najpierwszej wagi, bo dotychczasowe używanie polszczyzny nie jest zabezpieczone żadną ustawą, lecz opiera się jedynie na słowie cesarskiem. Czy Koło polskie skorzysta z przyjaznych okoliczności, wątpić należy, sądząc z poprzedniego postępowania. Pogłoski o mianowaniu hr. Tarnowskiego i Rusockiego członkami Izby panów świadczą, że poparcie galicyanów tym tradycyjnym sposobem zostanie wynagrodzone.

Nowe zaszczyty, które spłyną na „rodaków,“ nie przyniosą krajowi korzyści. Sprawa utworzenia wydziału medycznego w uniwersytecie lwowskim przekonywa o tem najlepiej. Minister oświaty zgodził się na projekt i oświadczył, że urzeczywistnienie jego zależy teraz jedynie od ministra skarbu, którym jest p. Dunajewski. Pomimo to projekt został odroczony... do lepszych czasów.

Węgierska Izba magnatów rozpatrywać ma powtórnie odesłany jej przez poselską projekt prawa o małżeństwach mieszanych. Stronnictwo klerykalno-zachowawcze używa wszelkich środków dla zapewnienia sobie zwycięstwa. W tym celu sprowadzono podobno do Pesztu kilkunastu najskrajniejszych feodałów, członków austryackiej Izby panów, którzy, posiadając jednocześnie indygenat węgierski, są członkami Izby magnatów, chociaż w zwykłych warunkach w obradach jej nigdy nie przyjmują udziału. Manewr ten jednak wyjść może na niekorzyść dla jego inicyatorów, bo oburzył już teraz narodową dumę madziarów. Zwycięstwo zachowawców zmusiłoby rząd Tiszy do dymisyi, ponieważ postawił on kwestyę gabinetową.

Zgromadzenie bulgarskie zostało rozwiązane; ostatnim jego czynem, świadczącym o wzrastającej codzień samodzielności, było postanowienie, określające najmniejszy procent oficerów bulgarskich w armii. Z tego powodu wszyscy bulgarzy, kształcący się w zakładach wojskowych Rosyi, otrzymali wezwanie do powrotu.

Irkutsk. 21 listopada wykonany został wyrok śmierci nad politycznym przestępcą Nieustrojewem, skazanym na śmierć za czynną obrazę generał-gubernatora. Przed egzekucyą odmówił widzenia się z duchownym, oświadczając, że jest ateistą.

Rzym. Dnia 9 w rocznicę śmierci Wiktora Emanuela nastąpiło przeniesienie zwłok jego do Panteonu. Ze wszystkich stron Włoch przybyły deputacye z wieńcami. Dzienniki wyszły w czarnych obwódkach. Napływ ludności olbrzymi.

Hanoi. Silny wybuch zniszczył dwie baterye francuskie.

— 2,000 anamitów zaatakowało szańce francuskie, zostali jednak ze straszną stratą odparci.

Kair. Pod prezydencyą Wooda zebrała się komisya dla obradowania nad kwestyą uspokojenia Sudanu.

Petersburg. Od n. roku zaprowadzony zostaje prawidłowy nadzór inspektorów fabrycznych nad małoletnimi robotnikami.

— Przyjazd rosyjskiego ministra spraw zagranicznych Giersa do Wiednia postanowiony.

— Delegatem ze strony ministeryum spraw wewnętrznych do komisyi żydowskiej mianowany został prof. Martens.

— Zarządy akcyzy nie będą połączone z Izbami skarbowemi.

— *Petersburski korespondent Nord. Allg. Ztng* podaje następujące zaprzeczenie:

„W gazetach tutejszych i zagranicznych krąży pogłoska, jakoby przybycie b. ministra spraw wewnętrznych generał-adjutanta hr. Loris-Melikowa do Petersburga, ma być w związku z zamierzonemi zmianami w składzie osobistym wyższych urzędników. Pogłoska ta jest pozbawiona wszelkich podstaw. Zmian podobnych nie można się spodziewać w bliskiej przyszłości. Szczególniej bezpodstawne jest przekonanie, jakoby po-

zycya ministra skarbu była zachwiana. Również hr. Loris-Melikow, sam z pewnością nie jest skłonny do zajęcia jakiegokolwiek stanowiska, związanego z rozstrzygnięciem ważnych kwestyj ekonomicznych, na które przyszła obecnie kolej.“

— Łowczy dworu gen. Czertkow został uwolniony od sprawowanych obowiązków.

— Pisma rosyjskie donoszą, że w Bułgaryi wydano nowe prawo prasowe zgodne z konstytucyą tyrnowską. Według tej ustawy wolny wstęp mają do kraju wszelkie książki, niezawierające nic przeciwnego prawu. Za przestępstwo uważa się: obraza księcia lub jego rodziny, podniecanie do buntu, zakłócenie spokoju publicznego, wystąpienie niemoralne oraz ubliżające monarchom, z którymi Bułgarya zostaje w przyjaznych stosunkach. Wszelkie procesy prasowe rozpatrywane będą w sądach zwyczajnych.

Wiedeń. Cesarz miał wyrzec o magnatach przedlitawskich, którzy zamierzają wstąpić do Izby węgierskiej dla obalenia prawa o ślubach cywilnych, że „niczego się nie nauczyli.“ Sprawiedliwa uwaga i nie dziwilibyśmy się wcale, gdyby węgrzy dali tym panom dobrą naukę.

CUDZE GŁOSY.

Rozumne słowo. *Ruskij Kurier* w artykule, poświęconym zasadzie narodowości w zewnętrznej i wewnętrznej polityce państwa, uważa ją za jednoznaczną z pojęciem braterstwa i równouprawnienia ludzi. Kwestya ta w zastosowaniu do państw jednolitych nie przedstawia żadnych wątpliwości, inaczej się przedstawia, kiedy idzie o państwa z różnoplemienną ludnością. Gazeta moskiewska słusznie utrzymuje, że zasada narodowości winna być konsekwentnie stosowaną nietylko w polityce międzynarodowej, ale i w sprawach wewnętrznych państwa.

„Z tego punktu widzenia, w zastosowaniu do własnego kraju—pisze *Kurier*—nie solidaryzujemy się z naszymi słowianofilami i wogóle z krótkowidzącymi patryotami, którzy zwracając swój wzrok za granice państwa rosyjskiego i występując tam jako obrońcy i opiekunowie zasady narodowej i idei sprawiedliwości powszechnej, jednocześnie u siebie w domu depczą tę ideę, nie uznają jej znaczenia i potęgi oraz stoją w sprzeczności z temi wysokiemi pojęciami chrześciańskiemi i moralnemi, które głoszą w zastosowaniu do innych państw i narodowości. W tej sprzeczności, w tem odstępstwie od sprawiedliwości i rozumu dopatrywaliśmy zawsze niemałej wagi przeszkody dla normalnego, pomyślnego i postępowego rozwoju, szczęścia i pożytku narodu rosyjskiego. Dla jego szczęścia właśnie jesteśmy w *Rosyi* stronnikami szczerego, konsekwentnego, rozumnie celowego stosowania w życiu państwa rosyjskiego zasady narodowości, ponieważ w tej zasadzie widzimy nie postrach, nie niebezpieczeństwo rozkładu i osłabienia materyalnych i moralnych sił naszej ojczyzny, ale przeciwnie pewność jej wzrostu, warunki jej wzmocnienia — conditio sine qua non sławy jej i potęgi.“

Dodać należy, że zasady te *Ruskij Kurier* przeprowadza w praktyce sumiennie i wytrwale.

Objaśnienie. *Gazeta Warszawska* zamieszcza wzmiankę następującej treści:

W ostatnim numerze *St. Petersb. Wiedomosti* w liście z Warszawy czytamy: „W niektórych gazetach zagranicznych doniesiono o wysłaniu parę tygodni temu z Warszawy p. Józefa Natansona. Mówią o tem, jak utrzymują i w niektórych kołach w Warszawie. I nic w tem dziwnego: p. Natanson jest synem bogatego warszawskiego bankiera i posiada stosunki w inteligentnej części izraelskiego, jakoteż i polskiego społeczeństwa. O wypadku tym zebraliśmy jak najstaranniejsze wiadomości, i na tej podstawie rzecz przedstawia się nam jak następuje: „W nrze 90 *Kuryera Warszawskiego* z d. 6 kwietnia r. z., a zatem podczas znanych zamieszek, które miały miejsce w tutejszym uniwersytecie, następnego dnia po obrażeniu kuratora okręgu naukowego przez Żukowicza, zjawiło się ogłoszenie o złożeniu przez p. Natansona 25 rs. „z powodu otrzymania dnia wczorajszego radosnej nowiny.“ Co stanowiło tę „radosną nowinę,“ p. N. na zarządzonem śledztwie wyjawić nie chciał. Nie trudno jednak było domyśleć się, co p. Natanson nazwał „radosną nowiną.“ Zrozumiała to publiczność, zrozumiały i władze. Jedna część publiczności cieszyła się złośliwie, inna wyrzekała, a obie, chociaż z różnemi uczuciami, gotowe były zapewne sądzić, że władzę wywiedziono w pole. Lecz na to właśnie nie należało zezwolić, na to nie można było zezwolić. Na szczęście, prawa rosyjskie, dostarczają do tego środków. W tych wypadkach, gdy w braku jawnych poszlak i formalnych dowodów, zwykły sąd okazuje się bezsilnym, nie mogąc ukarać za przestępstwo, widocznie jednak zasługujące na karę, prawo pozostawia osobnej radzie zebranej z wyższych dostojników w państwie, wydanie wyroku według sumienia, na podobieństwo przysięgłych. Ta to rada, uznawszy, jak sądzić należy, że nazywać „radosną nowiną“ to, co tak nazwał p. Natanson, w ogólności jest rzeczą niemoralną, że oprócz tego publiczne jego o tem doniesienie, widocznie miało charakter nieprzyjaźnie demonstracyjny, i że wreszcie p. Natanson, podczas śledztwa jawnie brawurował, zachowywał się ostro i zuchwale, odmawiając przytem dawania odpowiedzi w języku rosyjskim, którego nie mógł nie znać, skończywszy niedawno miejscowy uniwersytet — z powodu tego wszystkiego, powtarzam, osobna rada postanowiła wysłać p. Natansona, a władza miejscowa spełniła to bez najmniejszego wahania. My zaś, ze swojej strony sądzimy, że dawno już należało dowieść amatorom zadzierania z władzą, że nie można tego czynić bezkarnie.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Biuro mleczarsko-techniczne jest ostatnią nowością Warszawy. Założył je dr. K. A. Lesser. Zadaniem tego biura jest urządzenie mleczarni o sile zwierzęcej, wodnej lub parowej, dostarczanie odpowiednich machin i statków, pośredniczenie w tranzakcyach, mających związek z gospodarstwem mlecznem itd.

Gmach dla Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, dotąd wytrwale budowany w marzeniach, przysunął się o krok do rzeczywistości. Na ostatniem posiedzeniu członków w tej sprawie, udzielono komitetowi pełnomocnictwo na zakupienie placu z zebranych dotąd 30,000 rs. dodawszy mu do pomocy delegacyę z sześciu osób: J. Zawiszy, J. G. Blocha, W. Kretkowskiego, W. Marconiego, E. Lilpopa i Wojciechowskiego lub ich zastępców.

Nowy bank ma powstać w Warszawie, jako filia projektowanego w Petersburgu banku rolniczego, akcyjnego i przemysłowego, który znowu będzie synem „Banque de Paris et des Pays-Bas.“ Kapitał zakładowy 30,000,000 rs.

Tramwaje w Łodzi zaprowadzi p. W. Kiślański, administrator kolei konnej w Warszawie, który już otrzymał odpowiednią koncesyę.

Kasa wsparcia i pomocy dla adwokatów warszawskich po wprowadzeniu do projektu ustawy żądanego przez ministeryum obowiązku składania rachunków gen.-gubernatorowi, uzyska zatwierdzenie.

Literatura. Lenartowicz napisał dramat pt. *Sokrates*, który ma być złożony do przedstawienia teatrowi warszawskiemu.

Towarzystwo lekarskie w Warszawie wybrało głosowaniem członków: na prezesa dra Orłowskiego, na jego zastępcę dra B. Gepnera, na sekretarza dra A. Sokołowskiego, na bibliotekarza dra Peszkego.

— Towarzystwo zachęty przemysłu i handlu. Przemysłowcy warszawscy postanowili złączyć się w jedno ciało, tworząc filię towarzystwa, istniejącego pod powyższym tytułem w Petersburgu. Inicyatorowie otrzymali zapewnienie, że filia warszawska, po ukonstytuowaniu się, otrzyma natychmiast zatwierdzenie. Łódź już dawno w tym względzie wyprzedziła Warszawę.

— Towarzystwo opieki nad wychodzącymi z więzień powstaje u nas z inicyatywy kilku prawników. Ustawa została już wypracowaną i wkrótce ma pozyskać zatwierdzenie.

Szkoły. General-gubernator warszawski wniósł do ministeryum oświaty projekt założenia szkół i ochron rolniczo-rzemieślniczych w Królestwie. Mają się one dzielić na 1- i 2-klasowe, miejskie, wiejskie i prywatne. Zwierzchni nadzór należy do naczelników dyrekcyj naukowych, wykład nauk, z wyjątkiem religii, odbywać się będzie w języku rosyjskim.

— Szkoła ogrodnicza dla kobiet otwartą zostanie na wiosnę. Wykładać w niej będą: prof. Aleksandrowicz, pp. Jankowski, Szanior, Kaczyński i inni znani ogrodnicy. Dziś już zgłasza się wiele kandydatek.

Sądy. Z powodu znacznej ilości zalegających spraw ustanowione zostaną dwie posady sędziów pokoju w g. siedleckiej i piotrkowskiej.

Domy robocze. W sferach rządowych powstał projekt założenia instytucyj karnych, w których mają być pomieszczeni żebracy, trzykrotnie przytrzymani na proszeniu jałmużny.

Polskie kobiety. P. Edward Jelinek wydał świeżo dziełko p.t. *Polske pani a divky*, w którem zaleca czeszkom naśladować społeczną działalność kobiet naszych?

Laboratoryum chemiczne miejskie dla braku funduszów nie mogło przyjść do skutku. Magistrat, odczuwając jego potrzebę, wszedł w układy z właścicielem prywatnej pracowni p. Weinbergiem, który za 1200 rs. rocznie podjął się dokonywać analizy przedstawionych mu produktów spożywczych. Memoryał p. Weinberga, dotyczący tej sprawy, przesłany został do opinii Towarzystwu lekarskiemu. Dr. Nencki napisał wtedy nowy projekt, jeszcze korzystniejszy dla miasta, który również ma stać się przedmiotem obrad Towarzystwa. Bądź co bądź, laboratoryum jest koniecznem i ten lub ów projekt jaknajrychlej winien być przyjętym i wprowadzonym w wykonanie.

Fundusze miejskie. Minister spraw wewnętrznych zwrócił uwagę gubernatorów, że sumy, będące własnością miast, używane są na różne cele, z gospodarstwem miejskiem niemające nic wspólnego; takiemu marnotrawstwu należy postawić granice.

Zmniejszenie opłaty za prawo cząstkowej sprzedaży trunków, ma być wprowadzone od nowego roku st. st. na wniosek ministra finansów.

Kometa, świecąca obecnie nad naszym poziomem, dziś już może być dostrzeżoną gołem okiem. Blask jej wzrastać będzie do połowy stycznia.

Jubileusz Filipa Reisa, zmarłego przed kilku laty wynalazcy telefonów, obchodzono we Frankfurcie. Za życia znakomity ten człowiek cieszył się zwykłem... nieuznaniem, tak dalece, że ogół dotąd jego zasługę dzieli między Edisona i Bella.

Uniwersytet lwowski katedrę zoologii powierzył prof. Dybowskiemu.

Prasa francuska zyskała *Figaro illustré*, którego część rysunkowa i wogóle techniczna przewyższa wydawnictwa dotychczasowe. Do pierwszego numeru Daudet napisał artykuł o — mamkach. Jak to dobrze być autorem sławnym: nie potrzeba się męczyć dla zainteresowania publiczności.

Oświetlenie elektryczne zaprowadzono w całem Montreux, które dziś pod tym względem zajmuje czoło cywilizacyi.

Wyścigi. Anglia ustanowiła nowy turniej dla koni z nagrodą pierwszą 100,000 rs. Jakże długo muszą pracować niewolnicy lordów na tę sumę, którą ich konie po przebieżeniu kilku wiorst zarabiają!

Węże jadowite zabijają w Indyach rocznie 20,000 ludzi.

Trefne. Na bal u prezesa gabinetu francuskiego nuncyusz papieski nie przybył, ażeby uniknąć prowadzenia do kolacyi pani Ferry, która jest zaślubiona swemu mężowi tylko cywilnie.

O pracy sułtana ciekawe podaje szczegóły *Fornightly Review*. „Gdy wszystkie pisma konstantynopolitańskie codziennie powtarzały, że „jego cesarska mość jest obarczony zajęciami,“ władca wiernych, podczas najostrzejszego przesilenia wschodniego, przeglądał i poprawiał... ustawę dla *Café chantant* w najmizerniejszej miejscowości nad Bosforem.

Bibliografia niemiecka. J. Jung *Leben u. Sitten Römer* (Praga i Lipsk). Dzieło cenne.

Synowie burżoazyi. Pod tym tytułem p. Jules Vallès, znany dziennikarz, zamieścił w gazecie *Cri du peuple* charakterystykę studentów paryskich. Autor piętnuje ich mieszczańskie instynkty, dążenie do karyery, samolubstwo polityczne i nicość, a raczej zgniliznę

moralną, wyrażającą się szczególniej w uwodzeniu biednych dziewcząt. Artykuł ten wywołał straszne wzburzenie. Pierwszy to raz ostre te acz słuszne uwagi wyszły z radykalnego obozu. Studenci w liczbie tysiąca przybyli do redakcyi i po burzliwej wrzawie zażądali odwołania a następnie pojedynku. Redaktor pierwszego i drugiego odmówił, tłomacząc się tem, że walka, którą podjął, jest tylko jednym z momentów w 48 roku rozpoczętego a w 71 ponownie nawiązanego starcia klas, którego placem nie jest zamknięte miejsce, ale ulica. Tam jedynie i tylko tam może się on spotkać z przeciwnikami swymi z łacińskiego cyrkułu, pod warunkiem, że ci nie postąpią jak przed 13 laty, kiedy uciekali się pod obronę żołnierzy.

Uznanie. Kurator okręgu naukowego warszawskiego p. Apuchtin po złożeniu sprawozdania z odbytego niedawno objazdu szkół, otrzymał podziękowanie władzy wyższej za energiczną i troskliwą pracę nad reformą wychowania publicznego w Królestwie Polskiem.

Wystawy koni włościańskich odbędą się tego roku w bardzo wielu miejscowościach. Wartoby dla tych gubernij, w których mieszka znaczna liczba zaściankowej szlachty, znieść postanowienie, nakazujące właścicielowi konia wykazać swoje włościańskie pochodzenie. Idzie tu przecież nie o rodowód wystawcy, ale o rozmiar jego gospodarstwa, a okolice szlacheckie pod tym względem niczem się od wsi nie różnią.

Statystyka czytelnictwa. Niektóre pisma rosyjskie prowadzą szczegółowy wykaz prenumeratorów według miejsca zamieszkania. Okazuje się, że najwięcej czytelników dostarczają gubernie południowo-zachodnie; świadczy to pochlebnie o inteligencyi tych prowincyj, zwłaszcza że i polskie pisma tam najwięcej liczą abonentów.

Oryginalny samorząd. W mieście Kizlarze (na Kaukazie) zwołanem zostało posiedzenie rrdy miejskiej (dumy), na które przybył tylko prezydent i jeden z członków zarządu. Obaj ci panowie otworzyli sesyę: pierwszy prezydował a drugi był sekretarzem, wybrali sami siebie deputatami na pogrzeb Turgeniewa i wyznaczyli sobie po kilkaset rubli na koszta podróży.

Nowy napój. W ziemi kozaków uralskich miejscowa władza, dla zapobieżenia pijaństwu, ograniczyła liczbę szynków i zabroniła zupełnie otwierania ich w miejscowościach, przeznaczonych dla połowu ryb. Amatorowie spirytualij wymyślili jednak środek zaradczy, zaczęli upijać się... wodą kolońską. Dziś znajduje się ona w każdym sklepiku, ludność zasmakowała w nowym napoju i spożywa go za kilkadziesiąt tysięcy rs rocznie.

Antologia polska w angielskim przekładzie wyszła w r. z. w Chicago p. t. *Poets and Poetry of Poland*. Gazety nasze piszą, że zyskała w Ameryce ogromne powodzenie i zaraz potem przytaczają list autora p. Pawła Sobolewskiego, który oświadcza, że jeżeli „rycerski naród polski“ nie pomoże mu, to cały nakład książki sprzedany zostanie w d. 23 kwietnia z publicznej licytacyi. Jak można pogodzić te dwa fakty?

Rozprawy doktoryzacyjne. Zauważono w ostatnich czasach, że ta sama rozprawa służy nieraz kilku doktorom do pozyskania stopnia naukowego. W Petersburgu pewien pseudo-badacz o mało nie pozyskał doktoratu filozofii za cudzą rozprawę o języku nowogreckim (którego nie znał), poprzednio zaś tę samę dysertacyę przedstawiono w przekładzie łacińskim jednemu z uniwersytetów niemieckich. Dla uniknienia tych oszustw postanowiono projekt wymiany rozpraw doktoryzacyjnych między uniwersytetami wszystkich państw.

Bibliografia polska. S. Jurkowski *W kraju słońca*, obrazek z życia artysty, Płock.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. J. Perk. Tom I i II Brandesa wyczerpane.

P. Konstantemu S. w Moskwie. Pobudki pańskie szacunku i sympatyi naszej godne, ale wiersz nie do druku.

P. J. R. Czy p. J. jest synem neofity ze Skalbmierza i czy był pisarzem od szabru—to nawet dla okazania, że niepotrzebnie pluje w własne gniazdo, niewarte wzmianki. Ta mała osóbka zbyt wiele między semitami zwraca uwagi.

Bezimiennemu. Rs. 4 na pomn. M. odebraliśmy.

P. J. w Warszawie Ponieważ bezpłatne ogłoszenie pańskie zamieściliśmy w nrze 49 *Prawdy*, więc masz Pan prawo dziwić się tylko zbytkowi naszej względności dla człowieka, który nie jest nawet dobrze wychowanym.

H. C. L. Gdyby nawet to wszystko było słusznem, z obrazka nie wychodzi jasno.

P. E. W. w Krasiłowie i P. J. w Smiełej. Wysłane książki kosztują wraz z przesyłką rs. 4 kop. 21; pozostaje zatem do rozporządzenia kop. 79 — *Piękna* wyczerpana.

P. K. Ch. w Izdebnie. Prenumerata rs. 2 kop. 50; książka wraz z przesyłką rs. 4 kop. 21; pozostaje do rozporządzenia rs. 4 k. 29. *Piękna*, z żądanych numerów 3, 5, 6, 22 oraz I i II tom Brandesa wyczerpane. Czy posiadane numery oraz t. III mamy wysłać?

OD ADMINISTRACYI PRAWDY.

Kilku abonentów *Ogniska* nie odebrało dotąd tej książki. Ponieważ nie możemy jej przechowywać do nieokreślonego czasu, prosimy więc o odebranie przed 1-ym marca. Po upływie tego terminu egzemplarze *Ogniska* sprzedamy a pieniądze przeznaczymy dla biednych.

OFIARY.

Dla młodej rzeźbiarki. W. B. rs. 1; W. S. rs. 6; studenci z Rygi rs. 3; H. W. z Łaszek rs. 4.

Na kasę Mianowskiego. Engler, sędzia z Wielunia rs. 5; Gustaw Taczanowski z Rudy rs. 5.

Sprostowanie. W nrze 1 *Prawdy* str. 8 sz. 2 w. 23 od góry zam. zeszłorocznych czyt. *zeszłowiecznych.*

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 30 Декабря 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.